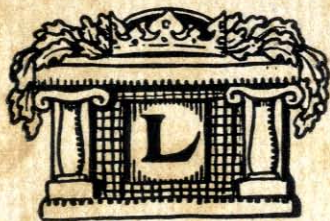


092

**DR. BERTOLD  
MERWIN  
LEGIONY  
W. BOJU  
1914  
TOM I.**



**KRAKÓW 1916**

**NAKŁADEM CENTR.  
BIURA WYDAWNICTW  
N.K.N.**

692

~~647~~ 38

LEGIONY W BOJU  
1914

DR. BERTOLD MERWIN

LEGIONY  
W BOJU  
1914

II. BRYGADA W KARPATACH

TOM I.

K R A K Ó W 1 9 1 5

NAKŁADEM CENTRALNEGO BIURA  
WYDAWNICTW N. K. N.

87  
KT



M3080

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0485706

ODBITO W DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE.

*Kapitanowi Włodzimierzowi Zagórskiemu.  
szefowi sztafu Komenady Legionów, którego  
cenne wskazówki z szczerą wdzięcznością  
wspominam kstążkę tę poświęcam.*

SPIS ROZDZIAŁÓW TOMU I

	Str.
Wstęp . . . . .	13
I. Maramaros . . . . .	17
II. Węgry podczas pierwszej inwazyi kozackiej . . . . .	26
III. Pantyr . . . . .	33
IV. Drogą Legionów w głąb Galicyi . . . . .	39
V. Nadwórna . . . . .	46
VI. Epizody . . . . .	51
VII. Na Huculszczyznę . . . . .	57
VIII. Czwarty teren operacyjny . . . . .	65
IX. Powstanie nowych wartości . . . . .	73
X. Wieczór wigilijny . . . . .	67
XI. Wojna góraska . . . . .	88
XII. Próby syntezy . . . . .	95
XIII. Gospodarka i instytucye . . . . .	103
XIV. Pod koniec wielkiego roku . . . . .	131

SPIS ILUSTRACYI TOMU I:

	Str.
Komendant Legionów, eksc. Durski . . . . .	16
Szef sztabu kap. Zagórski . . . . .	17
Grupa oficerów . . . . .	32
Droga Legionów . . . . .	33
Krzyż na szczycie Pantyru . . . . .	40
Pozycje między Rafajłową a Zieloną . . . . .	41
Nadwórna po zniszczeniu jej przez Moskali . . . . .	48
Kawalerzyści na patroli . . . . .	49
Oddział piechoty legionowej . . . . .	64
Translokacya . . . . .	65
Pułkownik Januszajtis ze swoim sztabem . . . . .	72
Tyraliera . . . . .	73
Artylerzyści na pozycyi . . . . .	80
Wieczera wigilijna . . . . .	81
Oddział karabinów maszyn., podsuwający się pod pozycje . . . . .	96
Na przełęczu ockörmezkiej . . . . .	97
Kuchnia ruchoma . . . . .	104
»Fasunek« chleba . . . . .	105
Treningi . . . . .	112
Zakład rusznikarski . . . . .	113
Grupa lekarzy . . . . .	128
Telefoniści przy pracy . . . . .	129
Przeprawa przez rzekę Nagy Ag . . . . .	136
Następca tronu wśród Legionistów . . . . .	137

---

## W S T Ę P.

Książka moja „Legiony w Karpatach“, wydana w kwietniu b. r. na rzecz funduszu wdów i sierot po legionistach, jest wyczerpaną.

Naczelny Komitet Narodowy wzywa mię, bym po raz wtóry ją wydał, a ponadto dołączył fragmenty notatnika, zawierające opis bojów II Brygady w pierwszej połowie 1915 roku, od Kirlibaby po Rokitnę.

Zaszczytnemu temu wezwaniu czyniąc zadość, przytaczam słowa przedmowy pierwszego wydania „Legionów w Karpatach“:

„Fragmenty i fotografie, które tu w formie książkowej się pojawiają, powstały w polu.

By uniknąć nieporozumień, muszę lekturę tych szkiców poprzedzić kilku słowy.

Skończy się wojna światowa. Wtedy popracuje i strategik i historyk i ekonomista i polityk — i na podstawie bogatego materiału, rozlicznych aktów, planów, pamiętników, raportów itd. spiszą wewnętrzne i zewnętrzne dzieje Legionów.

Moje książki nie roszczą sobie pretensyi ani do

miana prac strategicznych, ani historycznych. Ni teraz czas po temu, ni okazya, ni skromne me zdolności i wiedza na to starczą.

Cel tych szkiców był inny.

Spisywałem wrażenia moje tych przejść Legionów, których byłem świadkiem.

To, i nie więcej, stanowi treść mych fragmentów. Nie moją rzeczą jest osądzać, czy trafnie obserwowałem“.

Do tych słów wstępu I-go wydania „Legionów w Karpatach“ muszę dodać kilka uwag.

Łukę w obu tomach obecnego wydania stanowi brak opisu walk grupy pułkownika Hallera od Rafajłowej po Sołotwinę. Gdy Legiony w listopadzie z Rafajłowej poszły na Huculszczyznę, dla obrony Rafajłowej i drogi przez Pantyr pozostał pułk. Haller wraz z kilku batalionami. Chlubna to karta w historii Legionów, — utrzymanie przez całą zimę Rafajłowej i Pantyru. Chlubne dzieje grupy pułk. Hallera, odparcie ataku 24 stycznia i ofenzywa przez nadwórniańskie po Sołotwinę!

Niestety tego fragmentu walk legionowych opisać nie mogłem, nie będąc świadkiem tych bojów. I dlatego też czytelnik nie spotka się z czynami i nazwiskami tak dzielnych naszych przywódców jak pułkownik Haller, major Minkiewicz, kapitanowie Kossakowski, Zając, Szczepan, Udalowski i inni. Spodziewam się jednak, że dzieje

grupy Hallera zostaną również opisane przez uczestnika lub świadka i uprzystępnione wiedzy ogółu.

Fotografie pierwszej części częściowo zmieniłem, uzupełniając dawniejsze klisze świeżemi, bardziej uwzględniającemi front i jego wygląd, życie, charakterystyczne znamiona.

Oczywista, fotografie drugiego tomu, tembardziej czynią temu zadość.

Niech mi będzie wreszcie wolno spłacić dług wdzięczności dla szeregu fotografów-amatorów, jak plutonowy Adam Dulęba, aspirant lekarski Ludwik Rudke, sierżant Dunaj, lekarz dr Pawlas i inni — którzy uzupełniając mą kolekcję fotografii doskonałemi zdjęciami, stworzyli możność czynienia celowego wyboru w bogatym materiale.

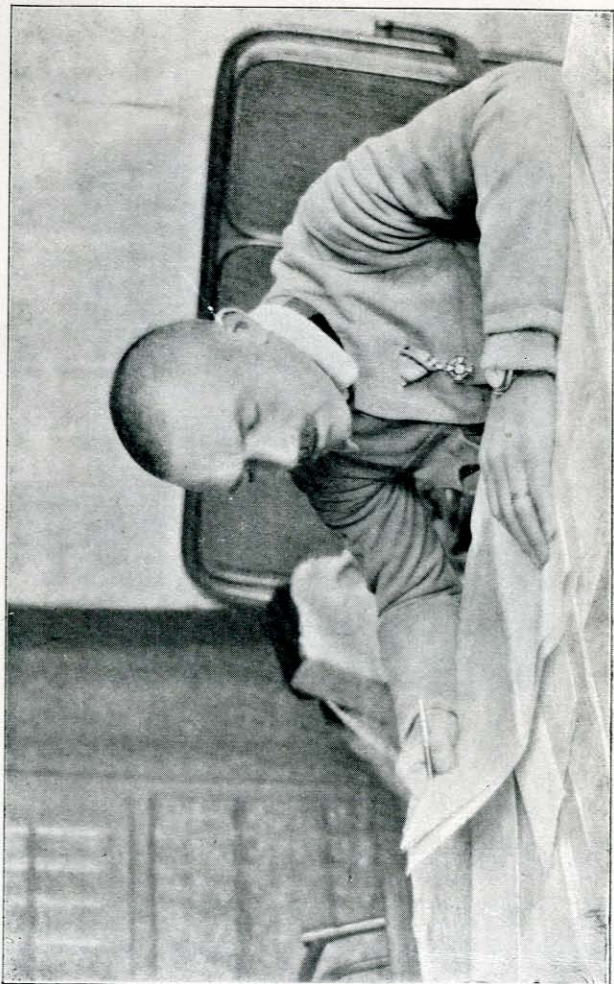
B. M.





*Komendant Legionów, eks. Durski.*





*Szef sztabu Kaz. Zagórski.*

## I. MARAMAROS.

Pociąg mknie wzdłuż doliny Cisy. Nareszcie! Nareszcie... Od czterech dni, czterech nocy żółwym krokiem wlecemy się wzdłuż południowych stoków Karpat. Jesteśmy już zdenerwowani monotonią podróży. Co kilka godzin postój — tor zabity, zatarasowany — co kilka godzin trąbka; zbiórka! Ujedziemy kilka godzin i znowu: tor zabity, zatarasowany... Teraz już ostatnie etapy jazdy. Jakby sobie chciał powetować czterodniową mitręgę — pociąg mknie coraz szybciej.

Wjeżdżamy w kraj rozbujanych nerwów, przestraszonych twarzy, popakowanych wzdłuż stacy i dróg tobołów, uciekających, bezdomnych rodzin. Kozacy na Węgrzech! Przeszli przez przesmyki karpackie! Przelewają się w dolinę! Stugębna fama dolatuje do naszych pociągów. Nasi chłopcy kraśnieją ze szczęścia, z wewnętrznej gorączki czynu. Zapomnianą jest mordęga kilkudniowej podróży. Zapomniane te słodkie wspomnienia domu, matki, lubej, które snuły się przez te dni wojażu po skąpo oświetlonych wagonach i taką mgłą melancholii otulały młodego wojaka...



Kozacy w pobliżu! Ziszcza się oto wkrótce marzenie! spełnia się sen o wojence!...

Jeszcze mamy do przebycia krótką drogę. Kilka godzin zaledwo. W wagonach wre. Ostatnie przygotowania. Pewnego rodzaju zwarcie, zgarnięcie, stężenie rozleniwiałego podróżą ciała. I namiętne, głośne, szumiące śpiewy: Hej, kto Polak!...

Wzdłuż toru huczy Cisa. Wjeżdżamy w okolice coraz romantyczniejszą. Dalekie perspektywy pułki znikają z oczu. Kędy spojrzeć — góry. A w nich rozbudzona wyobraźnia widzi wroga.

Świt. Mgłą powleczone góry, rosa opalizuje po łąkach. Zimno, przejmujące zimno. Pociąg staje przed małą górską stacyjką Huszt. Wszystkie tory szczelnie nabite wagonami. Na jednym torze stoi dłuży się chyba w nieskończoność rząd wagonów towarowych. Każdy wagon, to dom mieszkalny kilku rodzin. To ewakuowani z Maramaros-Szigetu i innych miasteczek doliny Izy i Cisy. Stoją biedne kobiety z dziećmi na rękach, stoją na otwartych torach starcy, okutani w lachmany. Chodząca nędza...

Na stacyjce gorączkowa praca. Aparat telefoniczny naczelnika stacyi w ciągłym oblężeniu. — Nieustannie nadchodzą i odchodzą rozkazy. Dyspozycje dotyczą dyslokacji, prowiantury, dowozu amunicji. Dokola stoją wykonawcy rozkazów. W przeciagu pół godziny szef sztabu wta-

jemniczył każdego w to, co powinien wiedzieć — wykonać. Na wsze strony rozbiegają się oficerowie ordynansowi, panowie z intendatury, kuryerzy, kwatermistrzowie itd.

Przed stacyą tymczasem posila się kompania sztabowa. Na trójnogu olbrzymi kocioł, a w nim herbata. Klęby pary otulają każdego, kto się do kotła przybliża. Ach, jak to dobrze ogrzać ręce blaszaną manierką, pełną ocukrzonego, gorącego napoju, wypić pół litra herbaty, zagryzając chlebem!

A potem wszystko, co nie jedzie na pole bitwy, do miasteczka, na kwaterę.

Pół kompanii piechoty i mały oddziałek kawalerji zostaje w pociągu. Dla ochrony sztabu, wybierającego się naprzód. Dopóki będzie można... Jak daleko kolej zawiezie... Nastrój poważny. Jedziemy wśród tego zimnego poranku w pobliże wroga. Przypatrzeć się przygotowaniom do walki, skontrolować dyspozycje. Nie wiemy, co nas spotka, jedziemy poza linię, do której kolej dowozi ludzi i towar. Po drodze pilne, ważne badanie okolicy. Wiemy, że włóczące się, grabiące, odłączone od całości bandy kozackie, znajdują się w okolicy, są pochowane w okolicznych lasach, czynią wysiłki, by tor zniszczyć, znieprawiają dusze chłopstwa ruskiego, kusząc do zdrad i zamachów.

Przez trzy godziny trwa ta podróż do Töcse.

Dalej nie można. Tłumaczy nam to oficer patrolu, który na pewnym miejscu, w szczerem polu, spotykamy... Dalej pociąg nie pójdzie... Wkrótce z pobliskiego gościńca słyszymy charakterystyczne turkoty zbliżających się samochodów. To dowódca operującej tu dywizji pospolitego ruszenia hr. Attems ze swym sztabem. Tuż obok toru odbywa się konferencja obu generałów i obu szefów sztabu. Każdy ma szereg kart generalnych w ręku. Omówienie akcji w najdrobniejszym szczególe, krótki uścisk dłoni i — wracamy do głównej kwatery.

Tego samego dnia brali już chłopcy chrzest ognia. Z podziwienia godną gotowością, brawurą, walecznością. Mieliśmy tam na Węgrzech przez niejaki czas się ćwiczyć, kompletować wyekwipowanie i uzbrojenie, wprawiać się do życia obozowego. Tak było uplanowane. Tymczasem stało się inaczej. Nasza natychmiastowa akcja okazała się konieczną. Bezpośrednio po wywagonowaniu.

Na najtrudniejsze pozycje szli legionieści — i dawali sobie radę. Nie znali wcale terenu; mieli jeno dowódcy oddziałów karty w ręku, języka zasięgnąć trudno było, gdyż po ucieczce niemal całej węgierskiej ludności, zostało chłopstwo ruskie... A jednak nasze oddziały dochodziły o wyznaczonym czasie na miejsce, na którym miały działać.

Szli nasi ludzie z podziwu godną brawurą i nie mniej zadziwiającą — ostrożnością. Ani się podejść nie dawali, ani wciągnąć w zasadzki. Szli po mocno skomplikowanym terenie górskim, wśród bardzo trudnych — początkowo — warunków aprowizacyjnych (bo przecież to nagle użycie Legionów w walkach, mających oczyścić Węgry od najazdu rosyjskiego, było niespodzianką), a jednak spisywali się chwacko.

Brawurowym marszom, zwycięskim potyczkom, energii i wytrzymałości, jaką okazali nasi chłopcy — zawdzięczają Węgry, że Legiony, mając do pomocy oddziały pospolitego ruszenia, wspólnie wypędziły wroga z kraju.

Stało się to w stosunkowo bardzo krótkim czasie. Wyswobodzenie tak wielkiego szmatu kraju — jak połać od Krastfalu po Visovölgy, licząca przeszło 80 km. odległości — było dziełem nawet nie jednego tygodnia. Było to konsekwentne wypieranie wroga z zajmowanych przezeń pozycji przez

nastawanie mu wprost na pięty, przez zagrożenie mu okrążeniem i odcięciem, przez strategicznie racjonalne rozmieszczanie naszych oddziałów, przez planowe, celowe marsze bojowe.

Oczywista, tak intensywne wypieranie nieprzyjaciela i to nie w walnych bitwach, lecz przez zmuszanie go do odwrotu i ucieczki, wymagało wielkich trudów fizycznych. W bitwie pozycyjnej żołnierz okopie się i niejednokrotnie dniami przebywa na jednym terenie. Tu było inaczej. Wieczny ruch, wieczny marsz, niejednokrotnie o głodzie, a zawsze o chłodzie, z góry na górę, przez złomy skalne i przełęcz, wśród mgieł i nawałnic śniegowych.

Trud więc był wielki. I tak np. jeden z naszych batalionów w przeciągu dni kilku przebył takie marsze, wciąż po drodze napotykając i niszcząc porozrzucane po górach, odbiegłe od głównej armii, małe oddziały kozackie: Pierwszego dnia, wysiadłszy z wagonów w Taraczköz, szedł marszem bojowym do Akna Slatina. Dwie godziny snu. Wymarsz do Közepapsa. Drugi dzień: patrol wywiadowczy do Fölsöabsa i jedna kompania detaszowana na jednym z triangulów do pasma La Czuhe. Z Fölsöabsa marsz bojowy w kierunku stacji kolejowej Bocsko, następnie do Maramaros-Sziget. Tu pół godziny odpoczynku. Odmarsz do Bańcsfalo. Trzy godziny noclegu. Trzeci dzień: marsz bojowy przez śniegiem pokryte góry,

wśród nawałnic, przez Petrovę, w kierunku Visovölgy, przez pasmo Menczul. Nocleg w lesie... Są to marsze, które w zwykłych warunkach przebyte w potrójnym czasie zasługiwałyby na pochwałę...

Cóż więc dziwnego, że wobec takiej ruchliwości, takiej aktywności naszych żołnierzy — kozacy uciekali w panicznym popłochu? Równie szybko, jak się pojawili na Węgrzech, zostali także wyparci. Pierwsi, którzy weszli do Maramaros-Sziget — byli legioniści; pierwsi, którzy zdobywali stacje kolejowe na linii od Maramaros ku granicy galicyjskiej, stację Bocsko, Visovölgy itd. — byli legioniści. A co raz było wzięte — to żelazną pięścią trzymano. O zabranie Rosyanie ani się nie kusili. Z podziwem patrzyli oficerowie stacjonowanych w północnych Węgrzech pułków na młodź naszą, pędzącą uciekających w panicznym popłochu przez Karpaty kozaków.

W przeciągu jednego tygodnia właściwa akcja militarna, tj. zdobycie Maramaros-Sziget, obsadzenie z powrotem kolei żelaznej i drogi kołowej, wiodącej przez Körözmező do Galicyi, wyparcie Moskali przez Karpaty — była skończona.

Teraz przyszła kolej na oczyszczenie Węgier północnych z rozprósnego, głodującego, chowającego się po jarach i lasach, nocą grabiącego kozactwa. Chwilami miało się wrażenie, że to nie

wojna nowoczesna, operująca masami, lecz nawrót do dawnych, dobrych czasów, gdy jednostka wykazywała swą sprawność i siłę indywidualną, walczyła samopas, sama sobie będąc wodzem i wykonawcą.

nasi chłopcy wylapywali i niszczyli oddziały kirgiskie, których sytuacja stawała się isticie tragiczną. Wszystkie główne drogi i przejścia karpacie obstawione legionistami, głód coraz większy, więc też wśród kozactwa szerzyła się albo rezygnacja wielka — i zmuszała do poddawania się, lub rozpacz i wściekłość — i zmuszała takich desperatów do rzucania się na oślep w wir rozpaczliwej walki.

Pewnego wieczoru prowadzą do komendy ośmiu schwytanych Rosyan. Obszarpańcy, zbiedzeni, wygłodnieli. Broń dawno już postradali, mundury widać przehandlowali na chleb u chłopstwa, dygotają z zimna i strachu... Wdają się z nimi w rozmowę. Schlebiają. Chwalą. Dobryś, myślę, chcesz się wkupić w łaskę. A przytem ten wzrok zalękniony, pytający: powieszą czy nie, ta rozszerzona żrenica, ten poorany, wychudły policzek... Staram się z nich wykrzesać iskierkę ducha, który przecież płonąć musi w duszy żołnierskiej. Naprawdę. Zupełnie ciemni, nieuświadomieni. Ka-

zano — poszli. Bili, zabijali. Tak nakazywał popęd samozachowawczy, naturalne dostosowanie się do środowiska. Ale pozatem: ciemni. Przejęcia się dla sprawy, poczucia jakiejś misji, czyto narodowej, czyto kulturalnej — ani śladu. Kieruje nimi tylko jedno: popęd samozachowawczy, ślepy instynkt.

Mówilem z nimi długo i jedno tylko miałem wrażenie: biedne ofiary, pędzone cudzą wolą, bez krzty uświadomienia, bez poczucia celu tej wojny, bez zdania sobie sprawy z perspektyw na przyszłość. Daliśmy im w końcu jeść... Byli wtedy szczęśliwi.

I oto antyteza: każdy z naszych dzielnych legionistów wie, o co i po co walczy, idzie dla sprawy, wnosi swą rozgorzałą miłością dla sprawy duszę w bój.

A nikt, kto opancerzył się mocniejszym, niż stal pancernem: miłością dla sprawy, gotowością poświęcenia się dla niej — nie przegrał!

---

## II. WĘGRY PODCZAS PIERWSZEJ INWAZJI KOZACKIEJ.

Gdyśmy przybyli do północnych Węgier, zamieszanie i panika dochodziły punktu kulminacyjnego. Gdyśmy przechodzili przesmyki, wiodące do Galicji, życie publiczne i prywatne przyjmować poczynało normalną fizyognomię, urzędy instalowały się na nowo, rodziny wracały do swoich pieleszy.

---

Puste miasteczko. Zasnęło, zmartwiało. Sklepy i kramy pozamykane, w ogródkach koło domków, wędną jesienne kwiaty. Domy i urządzenie na lasce bożej. W willi bogatego kupca stół nakryty do obiadu... Lada chwila wejdzie kucharka z dymiącą wagą rosółu. Dom pusty. Tuż przed obiadem uciekli mieszkańcy.

Rynek, punkt centralny miasteczka, opustoszały. Kilka furmanek spoczywa na nim od kilku dni. Konie wyprężone, zabrane. W szynkowni nieład nie do opisania. Na podłodze beczki śliwownicy — puste. Lada rozbita. Tu krzepili się ko-

zacy, zanieczyściwszy na odchodnym w wstrętny sposób oberżę. Tylko gdzieniegdzie wałęsa się kilka psów, wyjących z głodu lub ryczy z za plotu jałówka, dziwując się tej zastraszającej pustce...

Na końcu wsi, przed popaloną strzechą chaty, siedzi staruszek, który widać tak na wszystko zo-bojętniał, że mu się z innymi wynosić nie chciało. Siedzi koło drogi i żuje kromkę zeschłego chleba między bezzębniemi dziąslami. Pytamy o kierunek drogi, którą przed kilku godzinami przejeżdżał oddziałek rozbitków kozackich. Z trudem wydobywamy od staruszka odpowiedź. Reszta pamięci pod wpływem zajęć ostatnich dni w nim skapiała. Zidyociał do reszty. Żuje czarny, zeschły chleb bezzębniemi dziąslami...

Wkrótce jednak sami znajdujemy kierunek drogi kozackiej. Bo oto na dwóch drzewach przydrożnych widzimy z oddali dwa czarne, podługowate cienie... Podjeżdżamy. Dwóch żydów w długich chałatach chwieje się pod gałęzią. Oberżysta i syn. Zrabowawszy karczmę, posiliwszy się i wypiwszy, skwitowali kozacy rachunek z karczmarzem. Powiesili go wraz z synem...

---

Komenda przenosi się z miasteczka Huszt do miasta Nagy-Szöllös. Kilkanaście kilometrów drogi przez góry, przez bajeczny, liściasty, krasą jesienną skrzący las. Jedziemy z wielką ostrożnością. Nasze patrole wywiadowcze doniosły w nocy,

że na tej drodze widziano kozaków. Tren nasz jedzie pod ochroną silnej eskorty. Każdy z nas ma nabitą broń, otwarte rewolwery.

Na drodze spotykamy karawanę uciekinierów, wracających do Maramaros-Sziget. Na wierzchu wozów, naładowanych skrzyniami, betami, siedzą okutane w ciężkie chustki kobiety, z poza pierzyn i poduszek wychylają się główki dziecięce. Twarze pełne ciekawości i niepokoju, zadziwienia i nietajonego strachu. Obok wozów kroczą mężczyźni. Zobaczywszy nas, karawana zatrzymuje się. Słyszymy okrzyki: Legyel Legiol! Twarze ożywają się, oczy nabierają blasku.

— Polacy, czy droga do Maramaros wolna?

W pytaniu tem, rzuconem z wierzchu wozu przez odważniejszą osobkę o precudnej, od wiatru pokraśniałej twarzycze, drży niepokój i nadzieja. Odpowiedź na to pytanie stanowi przecież dla tych ludzi: być albo nie być, wrócić do domostw, zawodu, normalnego życia — lub tulać się o chłodzie jesiennym, marnieć, wieść życie bezdomne.

— Wolna droga, wolna! Jedźcie spokojnie do domu!

W tej chwili karawana przemienia się nie do poznania. Temperamenty węgierskie unoszą się. Z wozów wszyscy zeskakują i grupują się koło nas. Zapytania, krzyki, wiwaty. Ktoś podaje memu koniowi kawalek cukru, ktoś traktuje woźnicę

kielichem śliwownicy, ktoś rozdziela między eskortę niewidziane przysmaki: białe bulki.

— Niech wam Bóg dopomoże

— Teraz my Węgrzy, nasza młodzież, nasze wojska, w ogień pójda za Polskę!

Grupka kobiet i starców, których myśli i serca dotąd nurtowała rozpacz, teraz przedstawia obraz pełnego szczęścia.

Nie mamy czasu dłużej się zatrzymywać. Żegnamy uszczęśliwionych. Jedziemy dalej. Karawana w przeciwną stronę. Na skřęcie drogi lasowej tracimy ją z oczu...

---

Nastrój, jaki zapanował na Węgrzech pod wpływem zwycięskiego wyparcia Rosyan z Karpat, nie da się opisać. Podczas gdy na innych terenach wobec Legionów działały i działają czynniki uboczne, czy to polityczne, czy to narodowościowe, mącąc niejednokrotnie stosunki i wytwarzając powierzchwnie tarcia — to na Węgrzech entuzjazm w październiku był i szczerzy i pełen uświadomienia tej misji wyzwalającej, jaką miały Legiony.

Bo też na wytworzenie tego zrozumienia się wzajemnego działa potężnie tradycya obu narodów, historia obu społeczeństw. Węgrzy zrozumieeli, że akcya Legionów w Karpatach — to dal-



szy ciąg tradycji, to jedna z kart w wielkiej księdze, w której jest zapisanych tyle czynów wiekopomnych, tyle nazwisk, opromienionych blaskiem.

Córka Węgra była założycielką rodu Jagiellonów; król polski ginie pod Warną, na polach bułgarskich, za cywilizację europejską. Genialny Węgier, Stefan Batory, był jednym z pierwszych w Europie, który przewidział, jakim niebezpieczeństwem zagraża pokojowi i kulturze europejskiej rozrastanie się imperyum carów rosyjskich. On to obmyślił plan zabezpieczenia Europy przed niebezpieczeństwem, które dziś, w przeszło 300 lat potem, na nią spadło, plan ugodzenia Rosji w samo serce, ograniczenie jej do Wielkiego Księstwa Moskiewskiego. Wyprawy Batorego na Moskwę nie były zaprawdę wojnami z przypadku; droga jego na Inflanty, pod Połock, była wyrazem genialnej koncepcji politycznej. Niestety, śmierć przedwczesna przeszkodziła wykonaniu całego planu. Jakby wywdzięczając się za tę genialną postać śle Polska swego rycerza bez zmazy i skazy, Jana Sobieskiego, który Węgry wyzwalał z pod jarzma, zdobywał Budę, zwyciężał pod Parkanami. Zmieszanie się krwi polskiej i węgierskiej jest coraz częstsze, zbratanie coraz wyraźniejsze. Rok 1848 pieczętuje tę przyjaźń. Franciszek Smolka walczył o polityczne prawa Węgrów; generał Józef Bem, którego wyprawa siedmiogrodzka jest majstersztykiem strategicznym, o prawa narodu do wolności.

I znowu tak zrzędziły losy, że niedaleko terenu, w którym Bem w roku narodzin wolności wielu narodów europejskich wyzwalał Węgry, w roku rozprawy kultury europejskiej z barbarzyństwem moskiewskim, walczyły Legiony polskie.

Z tego wszystkiego zdają sobie obecnie sprawę Węgrzy i jeśli na obecną chwilę patrzeć będziemy przez pryzmat nie ściśle militarny, lecz ukształtowania się stosunków międzynarodowych w dalszej przyszłości — to akcja Legionów u południowych stoków Karpat jest jednym z węzłów, który na długo połączy dwa narody w bratnim sojuszu.

Miałem sposobność rozmawiania z jednym z najświetlejszych i najpoważniejszych polityków węgierskich i mogłem z zadowoleniem stwierdzić, że bardzo głęboko wryło się w duszę tego społeczeństwa znaczenie naszej akcji.

— Testament Stefana Batorego — mówił mi — i dziś jest jeszcze aktualny. I dziś narody Europy, jeśli chcą spokojnie się rozwijać na drodze ewolucji kulturalnej, muszą zrobić to samo, co już planował Batory. Muszą zepchnąć potęgę carską do właściwej roli.

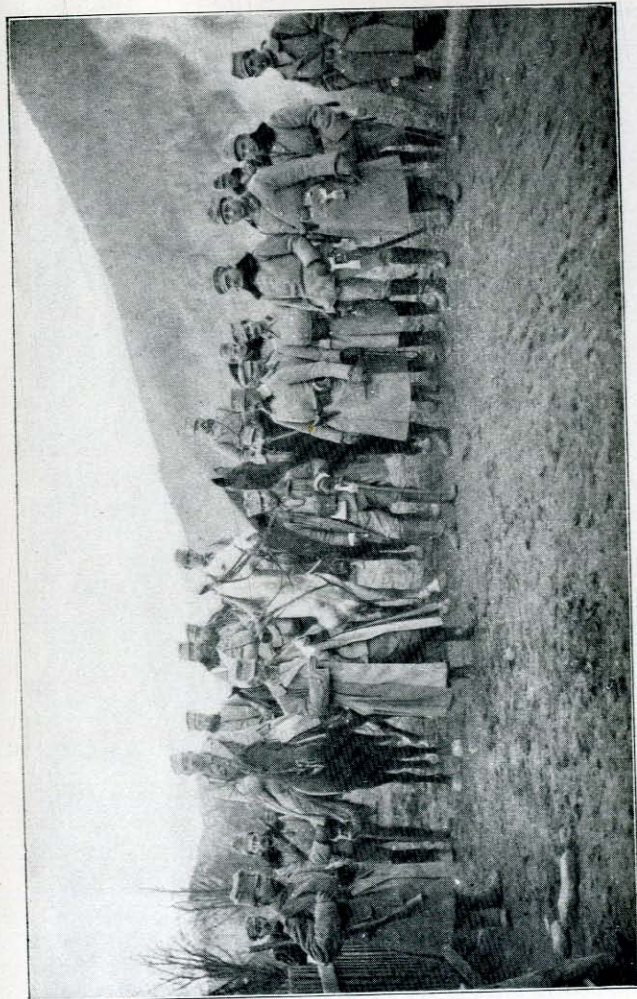
Tu uznałem za wskazane w zarysie przedstawić Węgrowi nasze narodowe w tej akcji stanowisko. I spotkałem się z zupełnym zrozumieniem.

I tłumaczył mi dalej, że jak w ciągu wieków tylekroć przejawiały się analogie interesów między narodem węgierskim i polskim, taksamo i obecna doba wykazuje identyczność, analogiczność interesów obu narodów.

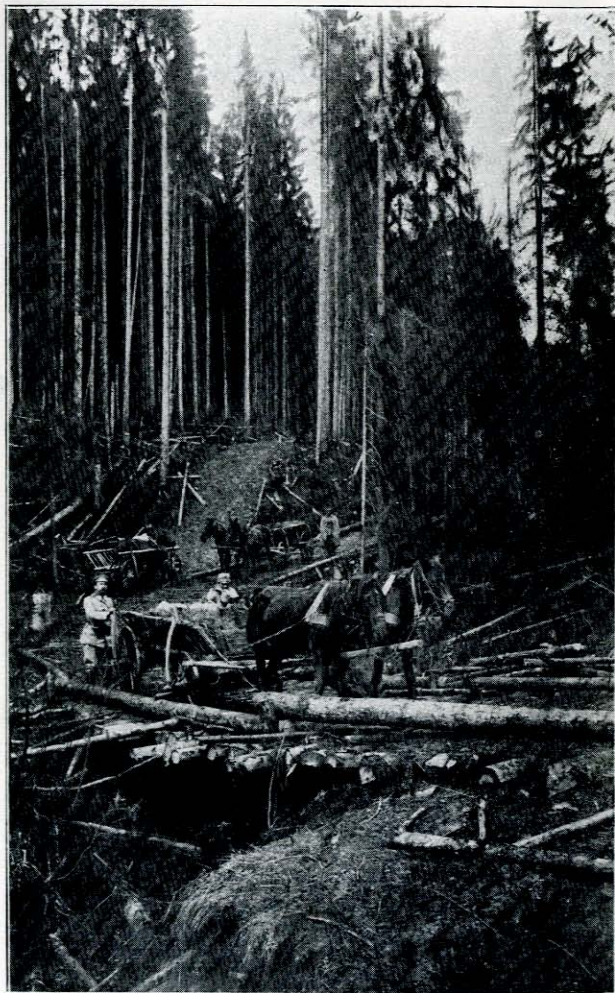
— Polaków gnębi Rosya — mówił — nas Węgrów faktota Rosyi. Przeciw Polakom występuje bezpośrednio moskiewska nawalnica, przeciw Węgom powstaje z południa żmija wielkoserbska, wyhodowana na łonie rosyjskiem. Oba te żywioły, i moskiewski i jego narzędzie moskwi czące, podały sobie ręce. Więc i my zwartą masą przeciw nim pójść musimy. Tak ja pojmuję waszą akcyę w Karpatach, z tego stanowiska patrzę na Legiony i tak zapisze historia wasze odważne przepędzenie kozactwa za Karpaty.

\* \* \*

Wybaczcie małą dygresyę powyższą. Podalem ją, acz nie należy do militarnej historyi ostatnich miesięcy. Sądzę jednak, że trzeba to było podać do wiadomości, gdyż ilustruje stosunki i jest miernikiem nastroju na Węgrzech.



Grupa oficerów.



*Droga Legionów.*

### III. PANTYR.

Węgry były już oczyszczone z rosyjskiego żołnierstwa, gdy przyszedł rozkaz przeprowadzenia się przez Karpaty na stronę galicyjską. Legiony otrzymały bardzo trudne zadanie: przeprowadzić się „przesmykiem pantyrowym“, łączącym ostatnie po stronie węgierskiej miejscowości, Kiralymeső i Brusturę, z pierwszą po stronie galicyjskiej, Rafajlową.

Było to zadanie i trudne i piękne.

Bajeczna jesień opromieniła góry. Po szeregu słotnych, wilgotnych, mglistych dni nastąpiła pogodna. Opuściwszy dworzec kolejowy w Taraczköz, puścili się Legiony drogą, wiodącą w zwyż, na szczyty górskie, wzdłuż doliny rzeki Taracz. Zdało się, że się jest w wyśnionym kraju, w krainie czarów. Słońce malowało na stokach gór symfonie kolorów. Lasy jaśniały od złota, fioletów, rdzawych i żółtych barw liści. Nad szumiącą, rwącą rzeką stał słup słonecznego światła, przetykany padającymi, wiatrem unoszonymi liśćmi. A hen w górze śnieżne pola, połyskujące w słońcu, a dookoła świeże, rześkie powietrze górskie.

Legiony szły ku szczytom. Nocowano na wielkich cmentarzyskach przyrody, na bujnych podściółkach spadłych z drzew liści. Na połoninach rozkładano się obozem, ze świeżych źródeł czerpano wodę, wśród czarnych borów szły patrole i przednie straże.

Wreszcie ostatnie domostwa, ostatnie ślady ludzkiego pobytu. Miejscowość Königsfeld, z węgierska zwana Kiralymeső, kolonia niemiecka o wzorowym zagospodarowaniu i widocznym dobrobycie mieszkańców. Tam w górach, wśród ruskiej ludności — zagrody kolonistów niemieckich, czyste, oparkanione, ze skromnem, lecz niemal wytwornem urządzeniem wewnętrznem.

A poza tymi śladami ludzkiej pracy i kultury, ziemia i skały, lasy i urwiska, halne wiatry i niebo. Królestwo zwierza, państwo jeleni i dzików. Jeszcze kilka kilometrów ciężkiej, wyboistej, wąskiej drogi leśnej do „Holzschlaghausu“ księcia Fürstenberga, a potem ciemne jary, ścieżyny, pnące się kręto po górach i przesmyk zwany „Pantyrpass“.

Przez ten przesmyk, na zachód od wygodnej drogi z Maramaros-Sziget, wiodącej przez Körösmező do Galicyi, miało przejść 12.000 legionistów wraz z kawaleryą i artyleryą, wraz z całym trenem, zapasami amunicyi, całym taborem.

Drogi nie było. Zeszłego roku, zimową porą, przeszedł przez „Pantyrpass“ oddział żołnierzy,

ale na — nartach. Teraz miała przejść cała dywizya. Trzeba się było wziąć intensywnie do roboty. Przedewszystkiem zbudować drogę. W jaknajszybszym czasie. Udało się szybciej, niż przewidywano.

W wąwozie wre życie dniem i nocą. Słychać łopot upadających drzew, których kłody stanowią mają fundamenta drogi; gdzie trzeba, tam łomy skalne torują przejścia. Kilo wcięż w robocie, 500 łopat wbija się wcięż w twarde grunty.

Nareszcie trudności pokonane. Oddziały legionistów wkraczają na ziemię galicyjską, dostają się do doliny Bystrzycy, do Rafajłowej, Zielonej, a stąd przez Pasiczną do Nadwórnej.

Oczywista, taka przeprawa przez góry, jak wogóle akcja w terytorium po większej części niezamieszkałem lub biednem, stawiała wzmoczone wymogi odnośnie do zaopatrzenia wojsk w żywność, dowozu amunicyi, stworzenia długiej linii etapowej, któraby utrzymywała kontakt na całej linii od niżu węgierskiego poprzez Karpaty, do każdego miejsca pobytu Legionów po drugiej stronie gór.

Było wielką troską komendy Legionów, jak to wszystko urządzić. W dolinie, wśród sieci kolejowych, wobec szybkości i łatwości transportu automobilami i podwodami, aprowizacya jest łatwiejsza. Ale przez południowy i północny stok

przywileje. Tu jesteś żołnierzem, oficerem, współdziałaczem. Kilka tygodni w polu, a przeobrażenie militarne dokonane.

Ani byście matki i siostry waszych synów i waszych braci poznały! To inni już zupełnie ludzie. Mężni, silni wojownicy. Powodzenie dodało hartu. Pierwszy krok był szczęśliwy. Akcja na Węgrzech się powiodła. Pójdzie teraz młódź nasza, kwiat naszej młodzieży, ku zwycięstwu!

#### IV. „DROGĄ LEGIONÓW” W GŁĄB GALICYI.

Polana na szczycie Karpat.

Dokoła iglaste lasy, obramowane skalistymi, śniegiem pokrytymi stokami gór. Na zielonej runi polany wąziutka, szczelnie udeptana ścieżyna wiedzie ku małemu wzniesieniu. Na nim olbrzymi, świeżo ociosany, na kilkanaście metrów wzwyż strzelający krzyż... Ach, iloma to już takimi krzyżami uścielona jest droga martyrologii Polski, ile krzyżów wznosiły ręce żołnierza polskiego r. 1812, r. 1830, r. 1863!

Na granicy Galicyi i Węgier postawili legioniści ten symboliczny znak męczeństwa Polski. I dobrze, że na szczycie przełęczy pantyrskiej ten krzyż stoi. Chelpił się ongi hr. Bobryński, że na tych szczytach powiewać będzie sztandar samodzielnego gnębiela Polski.

Przyszły Legiony, przyszły jako straż niezłomna Karpat, jako straż etnograficznej granicy ziem polskich od południa i — nie sztandar cara na szczycie powiewa, lecz stoi prosty, z wysokopienego drzewa świeżo ociosany krzyż...

I jeszcze o jednym świadczy on; oto zadaje kłam, tym, którzy głosili, że Polska, to tylko na zachód od Sanu, tylko część kraju. Przyszły Legiony i szły przez Karpaty — do Polski.

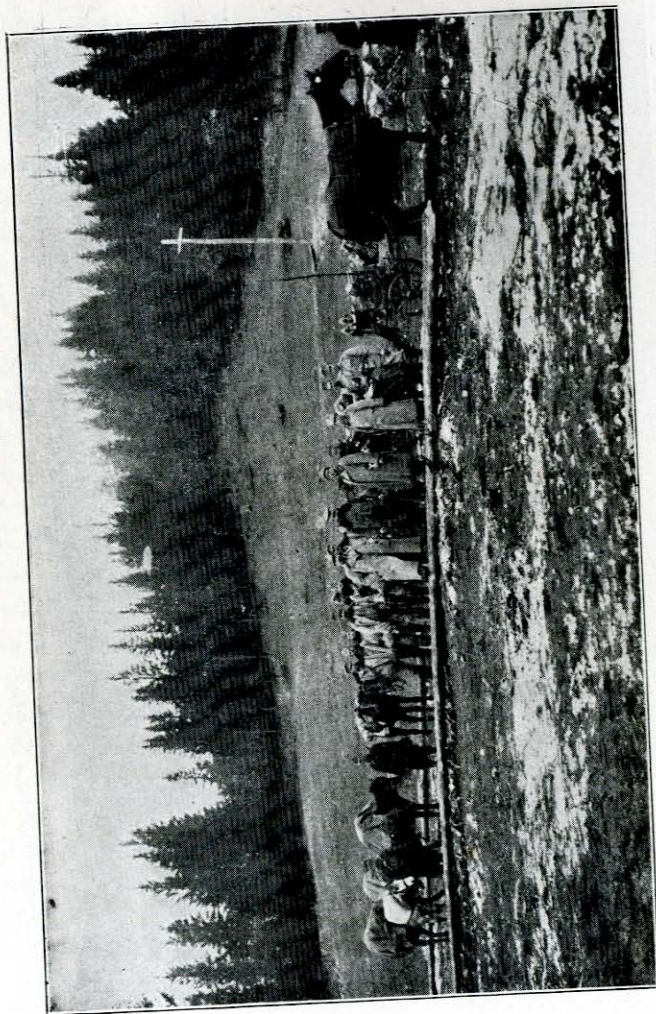
Bo zaprawdę, nie przy zielonym stoliku, lecz w krwawych zapasach wywalcza sobie naród swe granice.

Na szczycie przełęczy pantyrskiej, którą odtąd podręczniki historii i geografii zwać będą „Drogą Legionów“ (tak ją nazwaliśmy, a nazwa przyjęła się z zadziwiającą szybkością nie tylko wśród legionistów) stoi biały krzyż, a na nim wypisane słowa czterowiersza, ułożonego przez legionistę Adama Szanię:

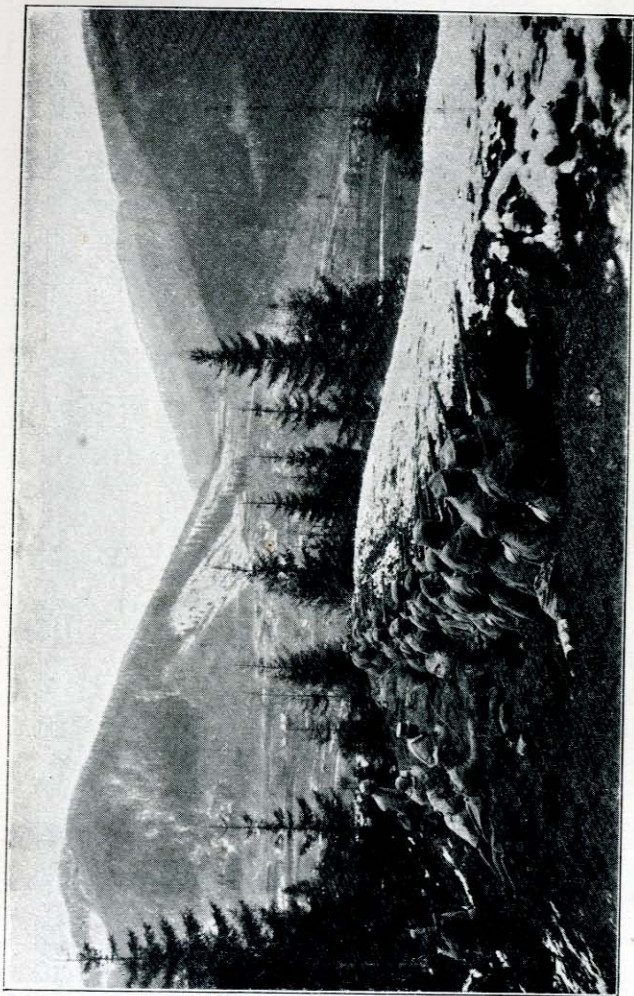
„Młodzieży polska, patrz na ten krzyż!  
Legiony polskie dźwignęły go wzwyż,  
Przechodząc góry, lasy i wały,  
Do Ciebie Polsko i dla Twej chwały“.

Pod krzyżem przeciąga oddział Legionów. Schodzi przez „pantyrską przełęcz“ do — kraju. Dookoła lasy i niebo, szczyt gór i skaliste złomy. Oto ostatnie żebra Karpat.

Ongi w tych nieprzebranych wykrotach i jarach, żlebach i kominach kryli się zbójnicy Dobosza; do ostatnich czasów nikt prócz katylinarnych indywiduów lub przemytników tędy nie chadzał. Teraz na całej drodze ruch gorączkowy. Tu, na serpentynie, śmiało poprzez dziki strumień rzuco-



Krzyż na szczycie Pantyru.



*Przełęcz między Rafajłową a Zieloną.*

nej, stoi warta; tam pod szalasem, choiną przykrytym, szumią smętne śpiewy; tam oto bucha ogień i gotuje oddział strawę; a tam oto gdzieś leżą połamane wozy i sterczą ku górze wyciągnięte nogi konia, których tyłu już padło, na tej strasznej drodze, usłanej śliskimi belkami, nad trzęsawiskami, urwiskami, nad jarami, pokrytymi młakami...

A jednak żołnierz polski zmógł te trudności! Bez pionierów, saperów, bez żelaza i betonu, bez reklamy i hałasu zbudował w kilku dniach drogę przez jedną z najbliższych przełęczy. Bo go ciągnęło ku krajowi, bo się rwał ku Polsce...

Przyszedł rozkaz przemarszu. „Droga Legionów“ była wtedy do połowy gotową. Jeno do szczytów Karpat. Do granicy galicyjskiej. Nic to! Legiony przeszły. Po dwa bataliony dziennie. Treny posuwały się zwolna za oddziałami. Przeważnie nocną porą.

Nareszcie pierwsza osada po stronie galicyjskiej, Rafajłowa. Wspaniale wygląda — z daleka. Ze szczytów. Po obu stronach potoku małe domki, przypinane do zielonych stoków, bielejące w oddali... Z bliska typowa, podługowata, biedna, wyjedzona przez kozactwo, smutna wioszczyna.

Tu poczęło się wypychanie Moskali przez pułkowników Hallera i Zielińskiego. Oddziały pie-

choty rosyjskiej z artylerią, widocznie wysłane, aby wstrzymać marsz Legionów, który prawdopodobnie już był komendzie wojsk rosyjskich wiadomym, zostają przepłoszone. Już 12. października odbywa się pierwsza potyczka naszej przedniej straży, zmuszająca Moskali do jaknajszybszego odwrotu.

I odtąd codzien zwycięskie wypieranie rosyjskich oddziałów w głąb kraju. Codzien przechodzą przez przełęcz pantyorską nowe bataliony Legionów, coraz więcej zyskujemy terenu po stronie galicyjskiej, coraz głębiej wchodzimy w kraj.

Ciężki to był marsz. Niebo, dopotąd rozpromienione, roześmiane, poczyną się chmurzyć. Cudna jesień ustępuje obrzydliwej, mglistej, lepkiej szarudze. Jak gdyby moskalofilskie bogi się obruszyły, że Legiony wkroczyły w ich pole działania — zesłały straszne burze, które okolice zamieniły w jedno trzęsawisko... Posuwając się dnami jarów i dolinkami rzeczulek górskich, brodziło się w błocie, mając nad sobą wieczny, przebrzydłe dokuczliwy deszcz i maszerując mimo to z wielką brawurą naprzód!

Kilkanaście kilometrów przed Rafajłową — Zielona, nadzwyczaj ważny punkt strategiczny. Legiony posuwają się dalej, docierają do Pasiecznej. Od 23. października stałe utarczki z kozakami patrolami.

Wiadomość o poruszeniach naszych szybko się

rozeszła zarówno w naczelnych kołach wojsk rosyjskich, jak i obozujących nieopodal grupach armii rosyjskiej. I oto cel pierwszy naszej operacji z tej strony Karpat został osiągnięty: stojące na linii od Körösmező ku Nadwornie oddziały rosyjskie zmuszone do bezładnego, panicznie szybkiego cofnięcia się, czem ułatwiliśmy, ba wprost umożliwiliśmy dywizji wojsk austriackich poniesienie się naprzód.

Szliśmy przez kilka dni w nieprzerwanie zwycięskim pochodzie naprzód. Nareszcie 24. rano zaczęło się debuszowanie Legionów z Karpat. Odpoczęły oczy legionistów od widoku gór, w których około miesiąc obozowali. Przed Legionami ściełła się równina, wzrok obejmował dalekie, nizinne widoki...

Wczesnym rankiem 24. października, wyruszyły Legiony. Wśród huku armat, wśród pękających szrapneli, wśród grzmotu granatów, szły niepowstrzymanie naprzód, doszły do Pniowa, przeszły przez Pniów, ruszyły na zdobycie Nadwórnej.

I oto jeszcze tego samego dnia była Nadworna w ręku naszych wojsk.

Było to przyżycie, jakie na długo, długo zostanie w pamięci tych, którzy byli jego świadkami. Gdy komendant 2. pułku Legionów, pułkownik Zieliński, wraz z szefem sztabu Zagórskim wjeżdżali do Nadwórnej, entuzjazm mieszkańców gra-



niczył z objawami dziecinnymi radości, szczęścia. Ludzie zbiegali się i, podskakiwali, wymachując rękami i wrzeszcząc, jakoś nieartykułowanie, przybiegali do koni naszych jeźdźców i całowali po strzemionach, znosili chleb i konfitury, znosili zwoje kielbas, przelewali do szklanek i garnuszków konwie gorącej herbaty, wynosili z domów wszystko, co w nich było do jedzenia i picia.

A działo się to bezpośrednio po ustąpieniu Moskali. Na pięć minut, dosłownie na 5 minut przed wjazdem szefa sztabu Legionów, kapitana Zagórskiego, uciekli kozacy z miasta.

Zewsząd dochodziły i meldunki i krzyki:

— Są jeszcze w mieście!

— Jeszcze są w browarze!

— Jeszcze siedzą w tartaku!

Przez ulice miasta przebiegały nasze patrole, goniąc za uciekającym wojskiem rosyjskim, które tak nadzwyczaj szybkiego naszego wmarszu za prawdę się nie spodziewało.

A tymczasem Legiony w tryumfalnym pochodzie, wśród wiwatów, idą coraz naprzód. Do skrzyżowania, wiodącej z Nadwórnej. Tu meldunki: Moskałe są u wylotu na moście. Komendant 2. pułku każe oczyścić drogę i posuwać się z obu stron opłotkami. Bezpośrednio za wojskiem sztab. Wjazd komendanta Legionów, Durskiego, wraz ze sztabem przemienia się w owacyjne, entuzjastyczne przyjęcie. W hotelu, który zrabowali kozacy,

nagle zjawia się jadła i napoju pod dostatkiem... Żyd gdzieś przecież ukrył swój dobytek, a teraz wojskom polskiemu wszystko zniósł...

Do późnej nocy trwa kanonada. Nic sobie z niej nikt nie robi. Miasto w naszym ręku. Ba co więcej: tego samego dnia nasze oddziały zajmują Solotwinę i Mołotków... Nasze piesze patrole wybiegają daleko poza Nadwórnę; zasięgają języka, że wojska rosyjskie w rozsypce cofają się...

Piękny był dzień. I mocny czyn. I zasłużony odpoczynek tej nocy.

## V. NADWÓRNA.

Nazajutrz po zajęciu Nadwórnej spokój; dzień odpoczynku. Moskale cofnęli się, lecz nie mijął dzień, aby nasze przednie straże i nasze patrole, posuwające się daleko poza Nadwórną — jeden ze śmiałych oddziałów pod komendą Roi zajął nawet Bohorodczany, na 15 km. od Stanisławowa — nie ścierały się z wojskiem rosyjskiem. Codzień odbywały się utarczki, a nawet większe bitwy, podczas których Legiony stale wypychały kozaków, piechotę rosyjską i artylerję.

Ten nieprzerwanie zwycięski pochód Legionów w głąb kraju musiał wywołać reakcyę w komendzie wojsk rosyjskich. Na naszą akcyę — silna kontrakcyja. Poczęły się mnożyć wiadomości, że ze wszech stron Moskale ściągają znaczne siły, aby powstrzymać pochód Legionów, których przednie straże już gołem okiem mogły widzieć Stanisławów... A o to właśnie chodziło. Historia strategiczna tej wojny zapisze jako bardzo ważne plus na karcie wojennej Legionów, iż zdołały te przeważające siły rosyjskie na siebie ściągnąć, a temsamem odciągnąć je od terenów walk w środko-

wej Galicyi, ulżyć operującym pod Starym Samborem itd. armiom austriackim.

Waliła na nas masa. Wrażenie naszego pochodu musiało być wielkie, kiedy przeciw nam wysłano takie siły znaczne.

A w nas utrwaliło się przeświadczenie, że właściwy obrachunek teraz się rozpoczyna. Powaga chwili widoczna była na twarzach odpowiedzialnych czynników legionowych.

28. października zyskuje komenda pewnośc, że rozstrzygający moment już jest bardzo blisko. Każdy zdaje sobie sprawę z tego, że po raz pierwszy legiony spotkają się nie z zagończykami kozackimi lub drugorzędnym materiałem rezerwowym, lecz z regularnymi siłami rosyjskiem, z formacyami bojowymi doskonale wyćwiczonemi i uzbrojonemi.

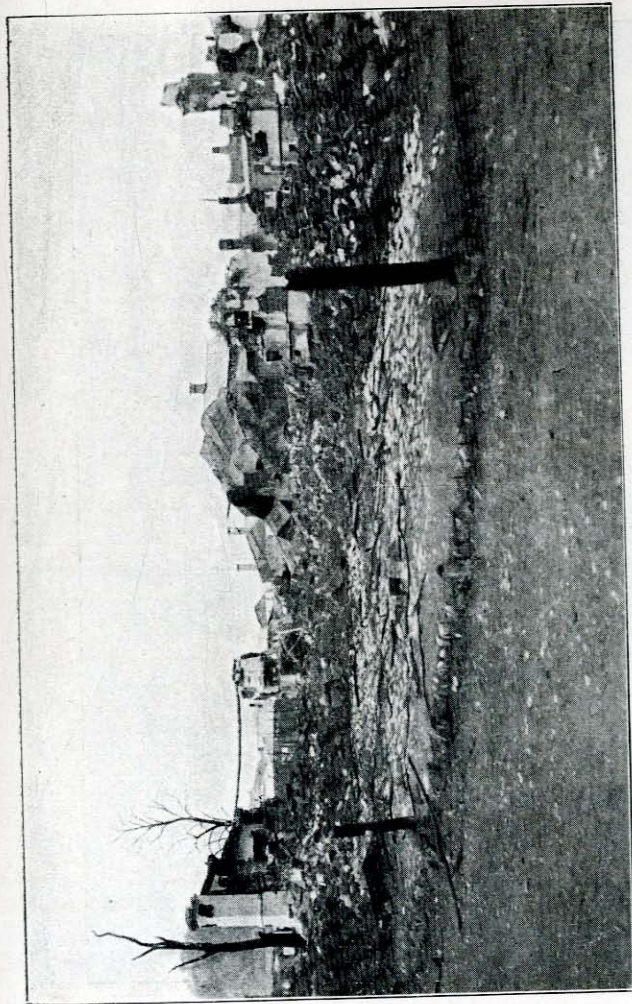
Przyszedł dzień 29 października, dzień bitwy pod Nadwórną, dzień, który w historii oręza polskiego będzie miał swą osobną kartę.

Śliczny, precudny wstał świt. W mroku rannym jeszcze mgły chodziły po górach i zasnuwały jakby zwelnioną oponczą firmament. Lecz wkrótce i niebo i góry oczyściły się, opary mgliste zesunęły się i przejasny wstał dzień jesienny.

Zaczęły się poruszenia batalionów Legionów. Z dwóch stron ku naszym pozycjom zbliżył się nieprzyjaciel. Z nadzwyczajną brawurą zetknęli

się z nim nasi dzielni chłopcy. Nieprzyjaciel zaczął odrazu od najsilniejszego ognia. Poczęła się wściekła kanonada, trwająca przez dzień cały. Jak błyskawice latały po nieboskłonie granaty, wszędzie padały pękające i rozpryskujące się szrapnele. Myśmy tym materyałem w równej sile odpowiadać nie mogli. Dostaliśmy wprawdzie trochę artyleryi od wspomagających nas słabych sił wojsk, lecz nie sposób było tem zrównoważyć siły artyleryi wroga.

Okolo południa wyjaśniło się, że nieprzyjaciel jest w znacznej przeważającej przewadze. Mimo to Legiony nie straciły nadziei zwycięstwa, lecz prowadziły atak własnem lewem skrzydłem, na którym była użyta większość Legionów. Trafila ona na jeszcze większą przewagę, która poparta przez silną artylerję i niezwykle wielką ilość karabinów maszynowych, powoli zmuszała naszą linię do odwrotu. Okolo 3. popoł. przejawilo się już w całej pełni, że takiego naporu nie wytrzymamy. Zostaje wydany rozkaz odwrotu na pobliskie wzgórze. Aż do zmroku trzymały się na nich nasze wojska, mimo morderczych salw, mimo szalonego naporu, mimo wściekłych wysiłków wroga spędzenia naszych z tych wzgórz. Dzięki temu, mógł się pod osłoną nocy dokonać w zwykłym porządku odwrót na Pasieczną. Tu dawały nasze wojska opór, następnie skoncentrowały się w Zielonej, którą na stałe zatrzymały, jako, że jest ona nie-



Naduźna po zniszczeniu jej przez Moskaf.



*Kawalerzyści na patrolu.*

jako kluczem do sytuacji strategicznej. Wieś ta rozsiadła po obu stronach dość szerokiej doliny, przecięta jest poprzecznymi wąwozami, z których jeden wiedzie do Delatyna, a drugi do Rypna. Jest to zatem ważne skrzyżowanie dróg i posiadanie tego klucza zapewnia niejako panowanie nad okolicą.

Pierwsza wielka bitwa, jaką 29. października stoczyły Legiony pod Nadworną, była niejako egzaminem zdolności bojowej tej młodej formacji militarnej. I bez względu na rezultat praktyczny tej bitwy stwierdzić trzeba, że Legiony ten egzamin złożyły i to zarówno pod względem strategicznym, jak i taktycznym.

Okazało się bowiem przedewszystkiem, że Legiony są zdolne do całodziennego boju z podwójną niemal przewagą i to nieprzyjaciela, sformowanego w regularną armię, nowożytnie uzbrojonego.

Okazało się dalej, że Legiony,

nie straciły wcale ducha ofensywy, ba przeciwnie, po bitwie okazały większą jeszcze może gotowość do rozprawy orężnej. Boć gdy zwykle po większej bitwie wojska ogarnia zmęczenie i potrzeba wypoczynku, to nasi legioniści, jakby niezadowoleni z dotychczasowych strat, zadanych nieprzyjacielowi, niepokoją go ustawicznie, nasze oddziały na ochotnika rwą się do służby, prześcigają w gorliwości.

Legiony w boju 4.

Pozornie odbite i zmuszone do cofnięcia się na linię, którą po ogromnych trudnościach przeszły — dopięły Legiony w zupełności celu, o ile na całą akcję spoglądać się będzie z punktu widzenia operacji wojennych. Ocena ta militarna wy daje Legionom świadectwo znakomite. Spadły one jak burza z najdzikszych, zdało się nieprzebytych szczytów Karpat i dotarłszy aż pod Stanisławów, wywołały panikę w głównej armii rosyjskiej. Panika ta wyraża się najlepiej w cyfrach: oto nieprzyjaciel musiał forsownymi marszami ze swego głównego frontu ściągnąć dwie dywizye piechoty, ustawić 48 armat, 24 karabinów maszynowych, by wstrzymać zwycięski pochód Legionów. Ba, co więcej, nieprzyjaciel nie może i nadal siłami swobodnie dysponować. Zmusiliśmy je i zmuszamy wciąż, by stały u wylotu przełęczy karpackich. Rygiel przed Karpatami, który stworzyły Legiony, jakgdyby ze spiżu. Skruszyć go nie zdołały ani armaty rosyjskie, ani napór piechoty nieprzyjacielskiej. Żyje też wróg we wiecznej obawie, by się Legiony znów nie wdarły do kraju i nie ponowiły tejsamej paniki, jaką w drugiej połowie października na linii od Rafajłowej aż do Stanisławowa wywołały.

---

## VI. EPIZODY.

Walka, jaką Legiony prowadzą na terenie galicyjskim, stanąwszy jak mur u podnóży Karpat, składa się z szeregu epizodów, potyczek, wycieczek, brawurowych rzutów, śmiałych zasadzek, ryzykownych ekspedycji w czarną noc. Tu przejawiać się może cała rycerskość, cały atawistycznie z generacji w generację przeszczeplający się duch odwagi, cechującej Polaka.

Kilka szkicowych opisów.

---

Przedewszystkiem sztab. Może nie ma przykładu drugiego, by sztab tak dalece stąpił się z wojskiem, tak dalece dzielił jego losy, jak w Legionach. Gdzie wojska, tam sztab, komenda, naczelny komendant. To zasada. Sztab idzie z wojskami. Sztab jest w ogniu. Pod Nadworną u stóp konia naczelnego dowódcy rozprysnął się szrapnel, dokoła stał cały sztab. W linii tyralierskiej wciąż znajduje się szef sztabu. Usuwa się z linii ranny komendant pułku trzeciego Haller; z miejsca w linię bojową wskakuje szef sztabu, obej-

muje komendę chwilowo i wiedzie pułk do boju, dopóki opatrzone komendant pułku — na szczęście rana była lekka — nie wrócił na swój posterunek. Codzień na linię wyjeżdża kilku oficerów sztabu; odbywają się formalne wyścigi o to, kto będzie miał każdego dnia szczęście towarzyszenia szefowi sztabu na bojową linię, między pociski, kule, wybuchające granaty.

Bajeczną w swej różnorodności, w swej brawurze, graniczące niemal z awanturniczością, była walka o Mołotków.

Trzeba było walczyć o każdą chałupę chłopską, o każdą zagrodę, każdą piędź ziemi. Opłotki stały się niemal fortcami, których jedni bronili, drudzy napadali. Front walki co chwilę się zmienia. Wieś czyni wrażenie piekła, w którym nie płonie i dymi tradycyjna smoła, i inne składniki kuchni szatańskiej — lecz z zimnym wyrafinowaniem ustawił człowiek 20. wieku najpomysłowsze i najkunsztowniejsze zdobycze sztuki wymordowania się. Granaty świszczą, pękają szrapnele, huczą salwy karabinów maszynowych, płoną zagrody, a wśród tego piekła, tego strasznego rozgwaru, tych walających się pod płotami rannych i zabitych, nasza wysmienita służba sanitarna, nasi mężni lekarze, nasi dzielni sanitaryusze, uwiązujący się wśród ognia i świszczących kul.

Moc zebraliśmy w tych zmaganiach jeńca.

I rzecz wielce znamienita. Po tak zażartych bitwach, w których — zdawałoby się — wypełzną najdziksze instynkta, wdechuje w siebie żołnierz zapach świeżej krwi ludzkiej, — żołnierz staje się dobrym, szlachetnym, kochanym, pocziwym chłopcem, pozbawionym wszelkiej zawziętości, niemal serdecznym, czułym... Trzeba widzieć, jak nasi legionieści przekomarżają się z Moskalami, zabranymi do niewoli, jak się niemal razem bawią, żartują — grubowate to oczywiście żarty i wcale nie salonowe — a jak przytem szanują człowieczeństwo osobnika, który został naszym jeńcem, ale który nosił także broń na ramieniu i także pełnił najbardziej męską służbę — służbę żołnierską.

Moc jeńców się przewinęło przez komendę, a wszyscy zostają odstawieni do etapów, a stąd do wielkich rezerwoarów jeńczych w głębi monarchii. Dziwią się oni i są wzruszeni tem, jak się legionieści z nimi obchodzą.

Szczytem pomysłowości i sprytu są natomiast ucieczki naszych chłopców z niewoli rosyjskiej. Na około 200 zagarniętych w zapasach pod Nadworną przez Moskale legionistów, przeszło 100 wróciło... Jeden się przebrał za chłopca, drugi był lokajem w kuchni sztabowej rosyjskiej, obsługiwał oficerów, wywiadził się o wielu rzeczach i — lasami błędząc kilka dni, wrócił... Tak wszyscy.

Popęd samozachowawczy pokonywa wszystkie trudności. Wojna to dobra szkoła życia! Niejeden chłopaczek, który przed niewielu miesiącami w Krakowie nie dalby sobie rady z najmniejszą trudnością i komplikacją — teraz samopas wraca z niewoli, wymyka się eskortie rosyjskiej... Wojna, to zmęczenie, to nagła, gruntowna dojrzałość, to najkrótsza droga do usamodzielnienia człowieka.

Od tych też naszych dzielnych chłopców dowiedzieliśmy się, że straty, jakie Moskale ponieśli pod Nadworną, były w porównaniu z naszymi wprost kolosalne. Gdy my mieliśmy około 400 rannych — i to przeważnie lekko — i około 100 zabitych, to ilość rannych i zabitych Moskali przenosi 3,000 żołnierza... Dzielnie strzelali nasi chłopcy! I celnie...

Jaka różnica między nastrojem, dyspozycją psychiczną, którą opanowały jest polski żołnierz, a siłą bezwładu i przymusu, która wiedzie moskiewskiego — doskonale świadczy następujący epizod:

Idzie przez las ku Mołotkowu patrol z dwóch legionistów. Nagle spostrzegają w lesie coś brunatnego. Siedzi Moskal i obwija sobie najspokojniej nogę. Karabin oparty o drzewo. Nasi chłopcy zachodzą go z drugiej strony i oświadczają mu solennie, że jest wzięty do niewoli. Oświadczenie

to przyjmuje Moskal do wiadomości wśród takich objawów, które ze smutkiem nic nie mają wspólnego... Idą więc dalej przez las. Ba, kiedy zbłądzili! Nie wiedzą, gdzie swoi a gdzie pozycje nieprzyjacielskie. Wielki kłopot! Szczęśliwi z pobrania jeńca, dumni — a nie wiedzą, gdzie go odprowadzić... Więc robią z nim układ: wszyscy trzej pójdą z bronią na ramieniu; jeśli dojdą do obozu moskiewskiego, to Moskal powie, że ich wziął w niewolę, jeśli dojdą do placówek polskich, to oni będą wolni, a on jeńcem. Układ stanął i — Moskal prowadzi. Po czasie pewnym patrzą: w pobliżu placówki legionowe... Wyszli z tarapatów, ale ciężar spadł z serca — Moskalowi...

Półtora miesiąca niemal trwająca akcja Legionów pozwoliła nam — by się tak wyrazić — przesitować materiał, rozróżnić ziarno od plewy, poznać człowieka.

Mieliśmy dość ku temu sposobności, a najwięcej po bitwie pod Nadworną. Setki, tysiące trzymały się dzielnie — jednostki rozbiegają się po świecie i zawodzą.

Rzecz trzeba brać z psychologicznego stanowiska. Ludzie, którzy są w wiecznym strachu o swą szacowną osobę, którzy nie dorośli do świadomości takiej ofiary za sprawę, jaką może być oddanie własnego życia — ci ludzie patrzą nie tylko przez czarne okulary, ale i mocno powiększające.

Wrażenia faktów, odciskające się na ich duszy, promieniają potem wokół w niczem nieuzasadnionej przesadzie. Odwrót, n. p. ze strategicznych względów dokonany, każdy realnie myślący uważać musi za operację wojenną — oni za katastrofę. Każdy maruder, wycofujący się na tyły, szerzy panikę. Wszystko stracone! Klęska! To, co mu się zdaje, to, co jego osobiście dotknęło, to w jego myślach olbrzymieje, to najłatwiej doznaje uogólnienia.

Z tego należy sobie zdać dokładnie sprawę. Wojna jest walką na śmierć i życie. Wojna nie jest rzeczą słabych duchem. Na wojnie pokazuje się dopiero siłę woli i charakter człowieka.

Legiony stoją w ogniu od miesięcy. Są zahartowane jak stal. Są mocne i dzielne. Panikarze i maruderzy — pod pierzynę! Nie było dla nich miejsca na polu chwały, nie ma dla nich posłuchu w opinii społeczeństwa.

Rok 1914 potrzebuje tylko polskich dusz — mocnych!

---

## VII. NA HUCULSZCZYZNĘ.

Połowa listopada. W pobliżu siebie stają Legiony i wojska rosyjskie. Rafajłowa i Zielona w ręku naszym — o kilka kilometrów przed nami Moskale. Legiony mają za zadanie stać u podnóży Karpat na ziemi galicyjskiej, być niejako rygłem, zasuniętym przed przesmykami, bronić rosyjskim wojskom wstępu na góry.

Kilkakroć usiłują w pierwszej połowie listopada Moskale skruszyć ten rygiel, odsunąć tę zasuwę, dzielącą ich od Karpat — nadaremnie! Legiony stoją jak mur. Ani sposób ich zepchnąć z Zielonej, z Rafajłowej. Więc Rosyanie wreszcie dają spokój... Widząc, że wysiłki ich bezowocne, godzą się z tem, że Legiony zajęły przełęcz pantyrską, iż usadowiły się na ziemi galicyjskiej.

Poczyna się idylla zimowa z bronią u nogi... Przeszło dwa tygodnie stoimy, niemal nienagabywani, mając przed sobą, tuż obok wroga, przykucniętego w okopach... Tu i ówdzie, niemal „pro forma“, jakby na wiwat, dla przypomnienia się sobie wzajemnego, pukania, potyczka, branie



jeńca, przychwytej gdzieś na stoku górskim patroli rosyjskiej, lekki napadzik nocny, odrobina emocji. Zresztą spokój i — przeobrażanie naszych Legionów, naszych chłopców w żołnierza, mającego przed sobą kampanię zimową. Całe góry ciepłych ubrań, kożuszków, kamaszy, ciepłych pończoch i rękawiczek piętrzą się w magazynach pułkowych i zostają rozdane wojsku. Równocześnie buduje się szałas, stajnie, rozwija się cały aparat administracyjno-gospodarczy, który ma służyć dla ochrony naszych wojsk przed zimnem.

Bo też już czas pomyśleć o zimie i zimnie.

Dopiero wprawdzie połowa listopada, a już w górach — luty. Mróz dochodzi do 25 stopni, ziemia pokryta grubą warstwą śniegu, góry w blasku słonecznym opalizują, nad urwiskami strumieni górskich zwisają ciężkie sople lodu, w podwieszczu skrzy się dokoła dyamentowymi blaski. Idzie zima, ciężka, mroźna, bezwzględna zima...

I początkowo złudzenie, wzięte jeszcze z czasów przedwojennych: teraz chyba będzie kilka miesięcy spokoju! Boć przecie w takie mrozy, na drogach pokrytych cieniutką warstewką lodu, na polach powleczonej masą śniegu, w te trzaskające mrozy, w te krótkie dni a noce bez końca — wojny prowadzić nie można... Złudzenie! Wojna jest, może nawet jeszcze intensywniejsza — tylko toczy się w innych warunkach, dopasowuje się do natury, pór roku, zmian atmosferycznych.

I dobrze, żeśmy w Rafajłowej mieli około dwa tygodnie do dyspozycji, by to dopasowanie do przyrody, dostrojenie człowieka, zmuszonego do stałego niemal pobytu w polu, do zimy, przeprowadzić.

Było to dwudziestego i któregoś listopada, gdyśmy nagle zostali wyrwani z tej idylli zimowej w Rafajłowej. Oto szef sztabu Legionów, kapitan Zagórski, otrzymuje depezę, powołującą go przez Karpaty na stronę węgierską na ważną konferencję. W sztabie wszyscy wiemy, co to znaczy. Oto znowu ważne zadanie czeka nasze wojska. Dokąd pójdziemy? W jaką stronę ruszamy? Późną nocą wraca szef sztabu i natychmiast poczyną się gorączkowa praca w komendzie. Wszyscy referenci zmobilizowani. Całą noc trwa praca w sztabie i już z brzaskiem dnia poczynają się ruchy naszych wojsk. Cicho, bez niepotrzebnych gwarów, niemal tajemniczo dokonuje się marsz naszych batalionów...

Bo oto ma się dokonać manewr strategiczny pierwszej klasy, majsterszyk, pełen subtelności, zrozumiałych tylko dla duszy wojskowej: Legiony — zostawiwszy w Rafajłowej dla obrony Pantyru kilka batalionów — mają się przesunąć na wschód, na Huculszczyznę, w okolice Żabiego, Kossowszczyzny, mają przeszło 100 kilometrów przebyć, ale marszu tego dokonać, nie okrążając

Karpat, nie przez Węgry, ale posuwając się u południowych stoków Karpat, na ziemi galicyjskiej, tuż poza frontem bojowym, tuż pod placówkami rosyjskimi, niemal defilując przed nimi. Manewr udaje się wyśmienicie. Marsz 100 kilometrowy przed żebami Karpat, na terenie tak skomplikowanym jak podnóże górskie, mając przed sobą wojska rosyjskie, musząc zachować wszelkie ślady przemarszu — znakomicie się udaje.

Hej, co za niespodzianka dla naszych antagonistów, gdy nagle Legiony, o których są święcie przekonani, że bawią przed przełęczą pantyorską, w Rafajłowej, spadają jak grom na rosyjskie kolumny o 100 kilometrów dalej na wschód, spadają po raz wtóry zupełnie niespodzianie z Karpat, z brawurą, jaka naszych chłopców cechuje, ze zwinnością i szybkością, z jaką nasze strategiczne manewry od października, od chwili zajęcia przez nas Maramaros-Szigetu, się dokonują.

Szedł nieprzyjaciel przez Huculszczyznę, na granicy Galicyi i Bukowiny — i znowu natknął na Legiony i — stanął. Musiał stanąć, stanął przed opoką.

Zaczął się kilka dni zaciętych walk obu zderzających się ze sobą kolumn: legionowej, wstrzymującej pochód rosyjski przez okolice opuszczone przez własne słabe siły — i rosyjskiej, rozwścieczonej, że te nieznośne „malczyki“, te „detiny“

znowu tarasują przejście do Węgier, wstrzymują pochód.

I znowu powtarza się objaw, który po raz trzeci w naszych walkach w Karpatach wraca: jak od Maramaros pędziliśmy przed siebie wroga aż do Körösmező, jak od Pantyru pędziliśmy go aż poza Nadwornę, tak i tu na Huculszczyźnie, od Żabiego począwszy, pędzimy go w głąb kraju, zmuszamy do stałego cofania się, zajmujemy w błyskawicznym tempie miejscowość za miejscowością, zyskujemy coraz więcej terenu i... stajemy nareszcie wobec niziny, marzącym okiem spoglądamy na nią, na kraj nasz, na żyzne ziemie, na ojczyste zagony... I mimo ciężkich przejść dotychczasowych, mimo tylomiesięcznej służby karpackiej, mimo krwawych zapasów nadworniańskich rwie się nasz legionista, rwą się nasze dusze w te nizinne szerokie przestrzenie. Trzy miesiące tu wojujemy, a ilekroć oczy nasze napawać się mogą pejzażem nizinnym, tylekroć serce żywiej puka, a dzielne nasze chłopaki nasłuchują, azali nie padnie hasło: naprzód, naprzód... marsz... iść, iść... i — znowu zdobyć większe polskie miasto!

Lecz nie czas na marzenia. W wojnie decydują — fakta, a szlakiem marzeń pulki nie idą, jeno twardą, ciężką drogą rzeczywistości.

Na trzecim naszym terenie operacyjnym (pierwszy był Maramaros, drugi Nadworna) wartość bo-

jowa Legionów przejawiała się z większą jeszcze może mocą jak dotychczas.

Kilka przykładów:

Jeden z naszych batalionów, stosunkowo co do liczby najslabszy, pierwszy miał przybyć na nowe nasze miejsce przeznaczenia. — Przybywa i z miejsca zostaje pchniętym naprzód z rozkazem zdobycia pozycji, utraconych poprzednio przez nielegionowe oddziały. W mig je zdobywa. Nietylko to. Utrzymuje się na nich i przez następny dzień przeciw trzykrotnej przewadze nieprzyjacielskiej, przeciw silnemu naporowi wroga, rozporządzającego silną artylerią, aż do chwili, gdy z naszej strony posiłki i dobrze znana Moskalom artyleria zmienia atak nieprzyjacielski w gwałtowną, paniczną ucieczkę...

Inny nasz batalion od 7 rano do 9 wieczór bez przerwy walczył ze znaczną przewagą nieprzyjacielską. Zdałoby się, że to dość, że na jeden batalion dostateczne działanie. Lecz nasi chłopacy w boju mają siły, które zdają się z każdą godziną walki nie słabnąć lecz rosnać... Bo oto późnym wieczorem, po 14-godzinnej nieprzerwanej walce, zdobywa się batalion na brawurowy, wprost zachowaty czyn: przy świetle księżyca rusza naprzód, idzie na bagnety i — wyrzuca nieprzyjaciela z zajętych pozycji...

Patrol nasz zostaje wysłany hen górami, lasami, poprzez jary, daleko na tyły nieprzyjacielskie.

Spostrzega rezerwę nieprzyjacielską o dziesięciokrotnej, dosłownie: dziesięciokrotnej przewadze, niż nasz patrol. Nie namyślając się wiele, wprawia silnym ogniem nieprzyjaciela w popłoch, bierze kilkanaście jeńca i... wraca tą samą drogą, którą przyszedł...

Albo brawurowy kawał naszego trzeciego szwadronu kawaleryi pod dzielnym komendantem Janem Brzezińskim. Trzydziestu siedmiu naszych jeźdźców spotyka 300 piechoty rosyjskiej. Natychmiast: z konia! Karabiny w dłoń, tyralierka i — mordercza salwa w piechotę rosyjską. Kilku z miejsca pada, kilkunastu rannych i kilkunastu w niewolę wziętych. Napad tak nagły i tak skuteczny, że Rosyanie w popłochu się cofają, naszym nic złego nie zrobiwszy.

W okolicach, w których teraz walczyliśmy, byliśmy nietylko mile witani, ale wprost entuzjastycznie przyjmowani. Była to nadzwyczaj przyjemna odmiana. W tym kraiku, odgrodzonym od świata, wśród tego malowniczego ludu — zupełnie odmiennego od rusińskiej ludności, zamieszkującej północne Węgry i południowe stoki Karpat, w których dotąd przebywaliśmy — drzemiał dobre instynkta. Tu, w Huculszczyźnie, jad agitacyi moskwiczącej nie wsączył się. Oczywiście, że ze stanowiska narodowego, z racji polskiej, sprawa się inaczej przedstawia. Lecz teraz, gdy

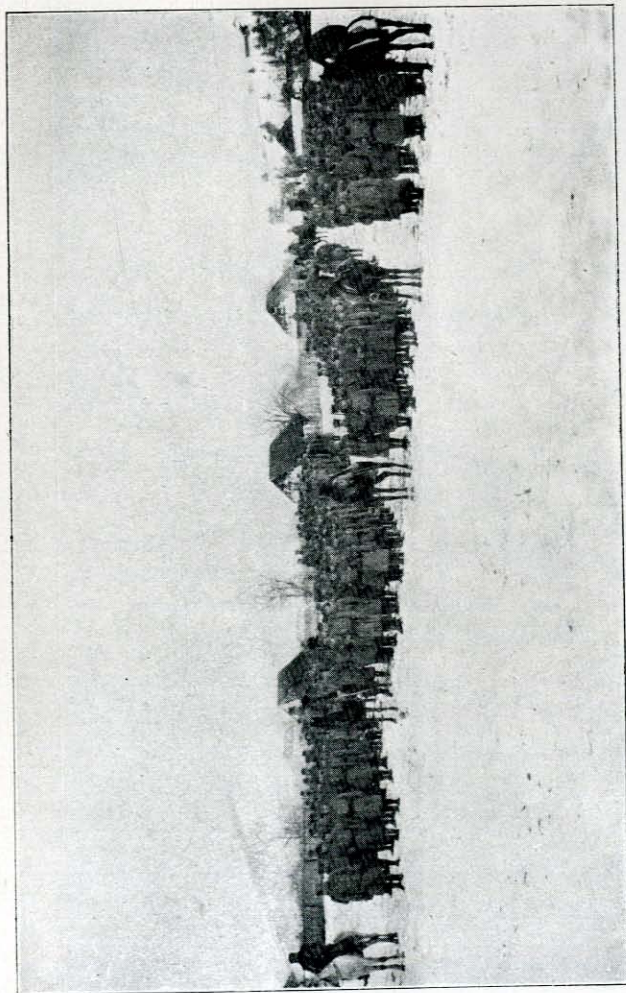
nad wszystkie problemy polityczne wypromie-  
niał jeden: walka z Moskwą; gdy stanowisko je-  
dynie racjonalne: któżeś, wszystko jedno, byleś  
brał broń do ręki, i bił, walił we wroga — prąd  
antyrosyjski, jaki tu spotkaliśmy, działał dobrze  
i dodatnio.

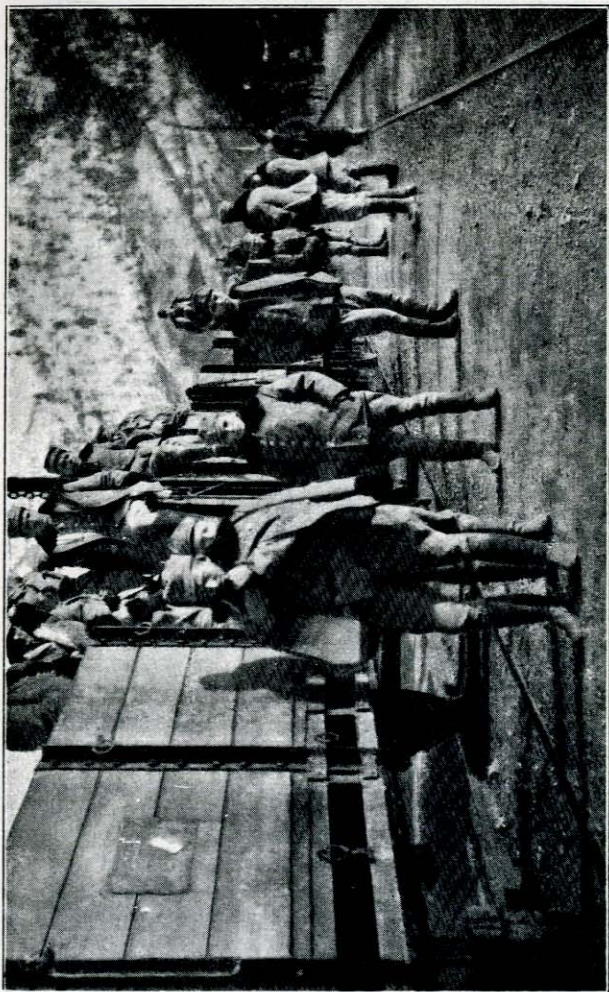
I to głośno powiedzieć trzeba. By oddać spra-  
wiedliwość tym, którym się ona należy.

Huculszczyzna cała kraśniała radością i szczę-  
ściem, że się broni jej przed zalewem kozackim.  
Hucul składał dowody, że mu bliższy ten, kto bije  
Moskala, niż ten, kto go dawniej chciał gwałtem  
poróżnić z Polakiem. Sercem lgnął do tych, któ-  
rzy ruszali w bój.

I wynieśliśmy też z tej naszej akcyi na Hucul-  
szczyźnie pewne wrażenia, które się nie zatną,  
i pewne wskaźniki, o których przyjdzie mówić  
wtedy, gdy miecz zostanie schowany do pochwy.  
Trzeba będzie klam zadać tym wartogłowom, któ-  
rzy bajali o nieprzebytych przepaściach...

W grozie ognia, w pożodze, w walce z odwiecz-  
nym wrogiem, obojętnymi lub nawet nieprzychyl-  
nymi nam byli ci, których ten wróg zdołał sko-  
rumpować — na niezsute pokłady duszy zbior-  
owej ludu huculskiego pleśń moskalofilska nie  
dotarła. I to będziemy pamiętali.





Translokacja.

## VIII. CZWARTY TEREN OPERACYJNY.

Nie długo dane nam było bawić na Huculszczyźnie. Operacje wojenne wymagały zluźwienia Legionów przez inne wojska, gdyż Legiony czekała inna, nowa praca, inny, nowy teren: obrona przejść karpackich pod Ökörmezö. Po kilku dniach walki na linii Żabie, Krzyworównia, Jasionów, Sokolówka, po krótkim pobycie nad Czeremoszem, po umocnieniu tamtejszego terenu, po tchnieniu w tamtejszą okolicę ducha — poszły Legiony, by się na czwartym już terenie operacyjnym z wrogiem mocować.

Po nieudanej próbie wtargnięcia na Węgry przez Maramoroski komitat z końcem września i początkiem października, po unicestwieniu przez Legiony inwazyi rosyjskiej — pchnęła Rosya bardziej na zachód wielkie masy wojsk w Karpaty, by zalały Węgry.

Legiony zostają powołane do współdziałania, by tę drugą próbę inwazyi sparaliżować, zostają wysłane na niezwykle ważny front, gdzie prze-

ważne siły nieprzyjacielskie poważny wywierają nacisk.

Jest w tem i dowód tężyzny Legionów i dowód zaufania, jakie naczelne władze wojskowe mają do naszych wojsk. W krótkim czasie otrzymujemy już czwarte zadanie — jedno trudniejsze od drugiego — i z każdego wywiązujemy się, w każdym odgrywamy rolę decydującego, ostatecznego, miarodajnego czynnika. Gdzie sytuacja zaostrożona, gdzie powaga chwili wielka — tam idziemy. Czują te Legiony, że nie są dodatkiem, rezerwą, lecz frontowem, na wszystko zdecydowanem, mężnie każdemu zadaniu czoło stawiającem wojskiem. I wiedzą o tem koła wojskowe. To też nic dziwnego, że tym razem komendzie Legionów powierzyły działanie na nader eksponowanem stanowisku, że prócz legionowych batalionów powierzyły jej dowodzenie silnymi oddziałami różnej broni.

Mieliśmy z Żabiego przed sobą conajmniej 5 dniowy marsz, by się dostać na nowe miejsce przeznaczenia. Na szczęście kolej we własnem posiadaniu i możność prędszego transportu. Lecz, że transport tak prędko się odbędzie, nikt się nie spodziewał. Bo niespełna w 24 godzin po otrzymaniu rozkazu translokacji odbył się marsz, transport i znowu marsz. Po upływie jednej doby były nasze oddziały na nowem miejscu przeznaczenia... Bo Legiony przyzwyczyły się do tego,

żeby z miejsca na miejsce przerzucać się z błyskawiczną szybkością. Bo nikt u nas więcej ani się nie dziwi, ani nie przestrasza, jeśli przyjdzie rozkaz w pierwszej chwili na pozór niewykonalny. Nasz aparat gospodarczy, nasze treny i magazyny, nasze środki przewozowe, tak są udoskonalone, iż niemożliwe staje się możliwem. Przy znacznej dozie dobrej woli, szybkości przeprowadzenia rozkazów i sprawności wojsk — wszystko daje się wykonać. Ino trzeba chcieć.. A na wojnie ta chęć akcyi decyduje!

A fakt, iż coraz szczytniejsze zadanie, coraz odpowiedzialniejsze i coraz — trudniejsze staje się udziałem Legionów, tylko dumą nas napawać może. Wojna to nie wybórka najwygodniejszych pozycyi życiowych, to nie chadzanie po linii najmniejszego oporu. To mus. To twarda droga po coraz trudniejszych stacyach. Tylko ludzie słabego serca litują się. Serca żołnierskie radują się, gdy im się powie: by dojsć do celu, trzeba iść po najcięższej drodze. Trud nie przestrasza więcej naszych legionistów, bo im większy trud, tem większe zadanie, tem większa satysfakcyja czynu.

Wielkiem jest zadanie obecnej akcyi Legionów.

I ciężkie i niebezpieczne. Lecz żeśmy to zadanie dostali, to nas i w dumę wzbija i serca przepelnia radością.

Bo to jest wynik legionowej pracy i krwi. To

najlepsza nagroda za rzetelne spełnianie żołnierskiego obowiązku.

---

W chwili, gdy w notatniku te słowa zapisuję, wiele rzeczy wielkich naokół się dokonywa.

W chałupince przydrożnej w górach, w biedniutkiej wioszczynie Zapredził, chwilowo przebywa nasz ścisły sztab. Rano wyjechaliśmy przed front. W jednej izdebce na stole rozłożone mapy, nad którymi pochylony komendant Legionów i szef sztabu. Tuż obok z bloczkiem szef kancelaryi, a dokoła oficerowie ordynansowi, gotowi w każdej chwili do przetransportowania rozkazów na wszystkie strony.

W drugiej izdebce nasz telefon polowy, wiecznie odbierający meldunki, wiecznie ekspedujący dyspozycje.

A dokoła nas odgłosy bitwy. Dudnią armaty, suną wozy amunicyjne, spieszą treny, pędzą jezdni gońce, idą kolumny wojsk w pole...

Za kilka godzin będziemy gdzieindziej. W mgłę niepamięci rozwieje się ta przydrożna chałupka, w której dziwnem zrządzeniem wypadku zbiegają się nici, idące na dziesiątki kilometrów w dal...

Jutro? Hej, gdzie będziemy jutro...

Teraz armaty, grzmiące po górach i te salwy karabinowe, dudniące przed nami, wykuwają nam „jutro“...

---

Prowadzą siedmiu jeńców. Przed miesiącami starałem się dotrzeć do duszy takiego człowieka, zbadać nastrój, który nim włada. Dziś — któżby jeszcze o takich sprawach myślał! Tyłu się ich przewinięło...

Dziś co innego interesuje, gdy sprowadzają takiego jeńca dla spisania z nim protokołu i odesłania go do wielkich obozowisk jeńców w głębi monarchii. Dziś napotykam charakterystyczny objaw: uznanie ze strony wroga, słowa pełne podziwu.

„Wot, maładcy, inyje by nas nie wziali w plen“.. — mówi jeden, a oczy mu się skrzą.

„Nu, a kak haraszo strelajut“... — dodaje drugi, mlaskając przy tem językiem, jakby go doleciała woń najsmakowitszej monopolki.

I to jednostkowe uznanie, ten pokłon żołnierski przed lepszym żołnierzem — przeniesiony na wyższą sferę, na tych, którzy temi maryonerkami rosyjskimi kierują, również znamiennie się przejawia.

Moskale liczą się z tem, że mają naprzeciw sobie oddziały legionowe. Znać to po sposobie ich walczenia.

Ruchy ich robią się mniej pewne. Idąc dolinami, bystro wypatrują na góry i lasy, czy z nich patrol szaleńców nie wpadnie im na flanki i tyły. Idą wielkimi grupami, zawsze z silną artylerją i karabinami maszynowymi.

Kozacka buta, która się przejawiała jeszcze w październiku, gdy po raz pierwszy Legiony pod Maramaros z wojskami rosyjskimi się zetknęły — zapodziała się zupełnie. Moskale wiedzą, że te „malczyki“, to groźny wróg. I dlatego ustalili sobie niejako sposób wojowania z nami w górach. Starają się nas obejść, otoczyć, a temsamem spalizować siłę i celność naszego frontowego ognia. Ale nawet obchodząc, idą nieśmiało, pełni wachnień, jakby stąpając po gruncie najezonym kolcami, pełnym ukrytych, niewidzialnych niebezpieczeństw. Boć przecież nieraz im się w ostatnich miesiącach przydarzyło, nieraz srodze na własnej skórze odpokutować musieli: chcąc nas obejść, sami zostali otoczeni.

Bo też teraz oddziały nasze nie tylko umieją strategicznie posuwać się i manewrować, ale również strzelać i celnie i dla nieprzyjaciela groźnie.

Co to bowiem znaczy mieć najnowszą, udoskonaloną, wysmienitą broń zamiast przestarzałej! Co to znaczy nie mieć „Wernkla“!

Strzelał człowiek z takiego pukadła i wyrzucał za każdym strzałem pięciometrowy kłęb dymu... Trafiał, wyrządził szkodę, ale — zdradził, skąd strzela. Bezpośrednio po strzale już go wróg zna, już odpowiada, już gardziel armatnią skierowuje, już szrapnele nad głową latają...

Cóż dopiero, gdy leży długa linia tyralierska

i strzelając, wytwarza olbrzymie kłęby dymu, zdradzające wysmienicie pozycje.

A nowoczesna bitwa, to działanie sekretne.

Chodzi przedewszystkiem o to, by jak najdłużej ukryć pozycje i siłę, która na pozycjach stoi.

I dlatego posiadanie najnowszej broni jest jednym z głównych czynników powodzenia.

Legiony pozbyły się zupełnie starszych systemów broni. Za dotychczasowe zasługi zarobiły sobie same na doskonałą broń repetierową.

Wogóle: w ciągu kilkumiesięcznej naszej tu-tejszej akcji, dokonał się szereg wielce znamienitych przeobrażeń. Jednym z nich jest kwestya zaspokojenia potrzeb materyalnych i bojowych Legionów. Wszelkie starania, wszelkie protekcyjnowiczostwo, wszelkie zabieganie po biurach — ustało. Legiony pracą swą, powodzeniem swem, użytecznością swą same sobie coraz lepsze warunki i bytu i boju stwarzają. Otrzymały broń najnowszą, otrzymują ekwipunek najlepszy. Własną zasługą.

To też im dalej w czas — tem lepiej wygląda nasz żołnierz, tem lepiej je i żyje.

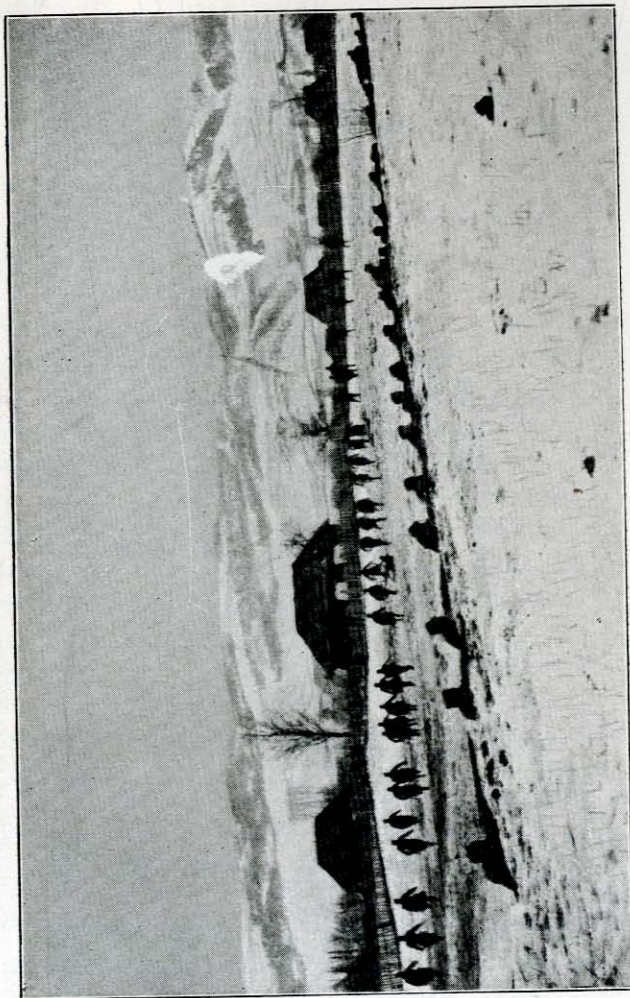
Onegdaj w Bustyahaza, na stacyi kolejowej wysiadły bataliony, by ruszyć marszem w pole. Serce się radowało, gdy się na naszych chłopaków patrzyło. Jakby nie po 3 miesiącach nieustannej walki — lecz jakby wprost z domu, wprost

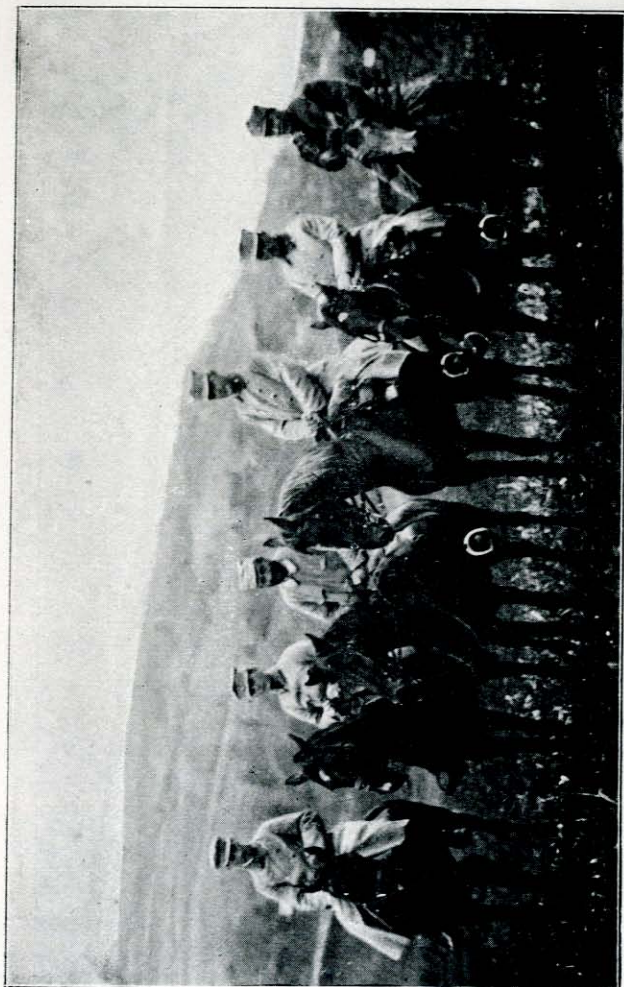


z „igły“.

Nasi chłopcy kraśni, wyświeżeni, ciepło ubrani,  
wyśmienicie odżywiani.

To też ich wartość bojowa wciąż rośnie.





*Pułkownik Januszajtis ze swoim sztabem.*

## IX. POWSTANIE NOWYCH WARTOŚCI.

Wojna, to oczyszczenie atmosfery z miazmatów, to sprowadzenie do istotnej wartości wszystkiego, co w pokojowych czasach zdołało nieproporcjonalnie wybujać, to — by użyć zwrotu Nietzscheańskiego — przewartościowanie wartości.

I w narodzie polskim dokonuje się obecnie taka zmiana wartości. Dokonywują jej — Legiony.

Poraz pierwszy od chwili rozbiorów postawił naród jednostkę bojową, nie partyzancką, nie utajoną, nie idącą z motyką na słońce — lecz jawną, mocną, legalną, i będącą eksponentem tej siły, która decyduje o losach narodów — siły oręża. Krzepiliśmy przez 100 lat, przez całe dziewiętnaste stulecie, ducha; rok 1914 pozwolił nam po raz pierwszy krzepić się fizycznie, uzbroić się i być kombatantem. To idea legionowa.

I dlatego też w realizacji tej idei widzimy szereg objawów, których naród od chwili utraty swej

samodzielności państwowej nie zaznał, objawów nowych, i nowych wskazań.

Jednym z tych objawów jest stosunek walczącej Polski do tej, poza polem walki się znajdującej, do „Hinterlandu“.

My tu, na froncie, nie tylko się bijemy, ale i tworzymy nowe ukształtowania własne do tych, którzy pozostali. W umysłach naszych tworzą się nowe koncepcje, nowe poglądy na świat; człowiek, który przechodzi przez „via dolorosa“ i „via triumphans“ żołnierskiego, wojennego bytu, zmienia się, przesiąka innymi poglądami, niejako przepoczwarza się.

I dlatego nie bez ogólnego interesu będzie, jeśli pokuszę się o psychologiczny rzut między nami na froncie, a wami, poza frontem, jeśli wyjaśnię, jakie zmiany w naszym dotychczasowym sposobie myślenia spowodowało kilka miesięcy w polu, jak o was myślimy, jakich doświadczeń nabyliśmy i — czego się spodziewać macie, jakimi nas zastaniecie, gdy kiedyś wrócimy...

Było to zawsze znamię militarizmu, że powodował pewne rozłupanie społeczeństwa na dwa czynniki: jeden, który dla siebie anektował pracę efektywną; drugi, który był stale pomawiany o próżniactwo, objadanie społeczeństwa.

Podczas długotrwałej ery pokojowej, która poprzedziła obecną wojnę światową, antagonizm obu tych czynników wielce się zaostriął. Przypomnij-

cie sobie — a bądźcie przytem szczerzy: cóżeście stale mówili o żołnierzu? wy, szeroka masa... Okrzykiwaliście go ciężarem dla społeczeństwa, zjadającym lwią część podatków, składanych przez „ludzi pracy“, tuczającym się na krwi społeczeństwa.

Przyszła wojna i — okazała się prawdziwa wartość rzeczy. Jak bańka mydlana prysły odleżałe aksjomaty. Istotna wartość przejawia się w całej pełni. Kłamstwa konwencyonalne, którymi nas karmiono, wypelzły i zatraciły się doszczętnie.

To, co przez wszystkich było okrzyczane jako ciężar, pasożyt — to zaczęło działać, pracować efektywnie, przejawiać tężyznę, siłę; ten, dawniej tak postponowany czynnik, stał się ośrodkiem wszelkiego działania, koło niego zaczęło się wszystko koncentrować. W mózgach wylaniać się poczęło: od siły, jaką się stawia, wszystko zależy. Dawniejsi „ludzie pracy efektywnej“ skazani zostali na... krytykowanie; dawniejsze „pasożyty“ wysunęły się przed front i zaczęły działać.

Wzójcie się w urabiającą się psychę nowoczesnego żołnierza, tego od kilku miesięcy aktywnego na polu człowieka: rośnie w nim poczucie własnej wartości i... maleje, maleć musi uznanie wartości tych, którzy jeno gędzą, jeno krytykują, jeno krzątają się, jeno pomagają. Gdy oni „idą“, on maszeruje; gdy oni tygodnie zużywają na konferencye, on chwilki potrzebuje na wystrzał, którym

obala najpiękniejsze konstrukcje przy zielonym stoliku; gdy oni komponują memoriały i obnoszą je po przedpokojach, salonach, radcowskich biurach, on pisze pięć słów na bloczku i setki, tyśiące od stóp do głów uzbrojonych mężów idzie, urągając śmierci, do czynu.

Więc zrozumcie, jak się tu dusza przeobraża, jak się nowy typ człowieka kształtuje: człowieka, który mniej mówi, a więcej działa, mniej przygotowuje się, a więcej wskóra.

I zrozumcie: jak dystans rośnie między człowiekiem, żyjącym na froncie, przed twardą paszczą armat, a człowiekiem, wegetującym tymczasowo w umebLOWANYCH, ciepłych pokojach, szwendającym się po „szerokim świecie“ Kärntnerstrasse — czy innej, rześście oświetlonej uliczki, przeżywającym jeno z bibuły gazetowej, jeno w kawiarnianym dymie, to, co my tu na froncie przeżywamy na pozycjach, na okopach, wśród latających szrapneli, wśród przenikającego zimna grunniowych nocy.

To też w umyśle człowieka z frontu kształtuje się obraz człowieka na tyłach zgoła odmienny od sądu, który wy sami o sobie macie.

My tu retrospektywnie patrząc, widzimy tam u was dwie warstwy: kobiety, dzieci, starców i — panikarzy, wszechwiedków, czy „besserwisserów“, dziwiących się, czemu tak jakoś patrzą na nich z ukosa.

Ci wszyscy robią tam na tyłach wielki szum.

Krzążają się, chodzą z wielkimi minami, ważą pod czaszkami wielkie plany, ba nawet „poprawiają“ plany strategiczne zawodowców, mówią szeroko i „głęboko“, każą się podziwiać i wielbić, wypalają setki cygar podczas „gruntownych“ obrad i konferencji.

Ach, to „potem”..

W chwili, gdy to piszę, galopuje przed kwaterę jeździec na przemokłym, zdyszanym, spienionym koniu. Przywiózł meldunek, hen z góry, z śnieżnych pól, z pozycyi ogniowych, z rowu, w którym garść naszych spędziła atakującego nieprzyjaciela.

Cóż te wszystkie atramentowe tryumfy tych z tyłu znaczą, wobec wysiłku jednego zajęcia pozycyi, wobec siły jednej salwy?

„Potem”, po wojnie, przyjdzie jedyna, racjonalna ocena, przejawia się jedyne, efektowne wartości.

A wartość mają te siły, te tylko czynniki, które działają i zwyciężają. Pokonani jak i kwerulanci, kibice i krytycy z wygodnego fotela, nic do gadania nie mają.

Wróci generacja nowych, przeszłych przez gehennę ognia ludzi w dom. Wróca ci, którzy przebyli wojnę w polu, w obozie.

Żelazo w ogniu hartuje się w stal. W zwilglej, gnuśnej atmosferze przegryza je rdza.

Wróci generacja, która w ogniu strasznej walki, walki, jakiej świat nie widział, zahartowała się. Generacja mocna, niezłomna.

## X. WIECZÓR WIGILIJNY.

Idzie mrok. Idzie ciemność i szarość i mgła. Kładzie się na ośnieżone szczyty Karpat, zsuwa się po połoninach, wtula się między gałęzie i konary drzew po stokach... Gęsta, nieprzenikliwa ciemność...

Coś błysnęło. Stoi chłopak, okutany w płaszcz, a ostrze bagnetu błyszczy w ciemności.

— Kto idzie?

Glucho, twardo to powiedział. Stoi na stoku góry jako „relais”, jako łącznik między zakopanym na froncie, w obłożonych podściółką choinową okopach, oddziałem, a formacyami rezerwowemi w tyle. Co kilkaset kroków stoi w tę ciemną noc, na wysokiej drożynie, u kraju lasu, łącznik i wypatruje okolice.

— Stój! Kto idzie?

— Swoi... Ksiądz kapelan idzie na pasterkę przed front..

Spojrzałem w tej chwili chłopcu w oczy i wzroku tego, póki życia, nie zapomnę.

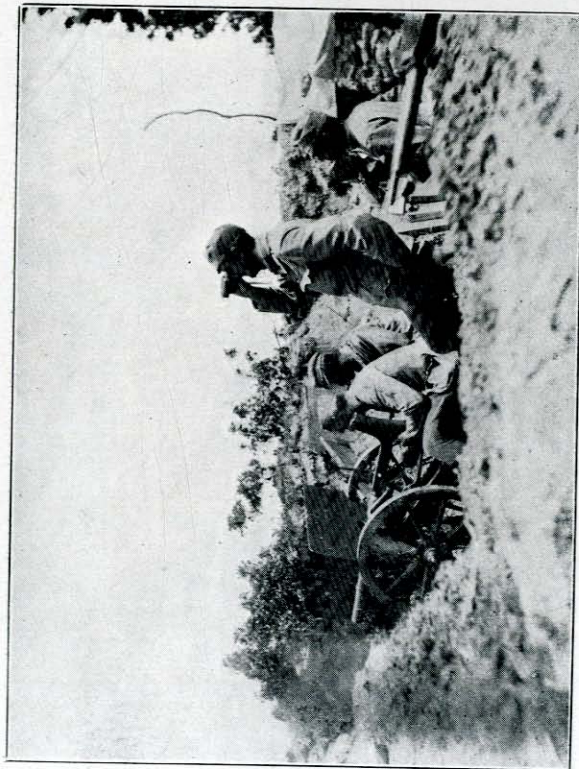
W tych oczach było łkanie i gloria, i ból i żar,

i wizya stołu, w którym na sianie bieleje obrus, i fantom drzewka, promieniejącego srebrnymi nici, gorzejącego świełkami świeczek kolorowych, i obraz ojca... matki... braci... ukochanej, tego jasnego dziewczęcia, o którym na górze pod Oekörmezö, wśród zadymki śnieżnej, dusza tylko nieśmiało marzyć się odważa...

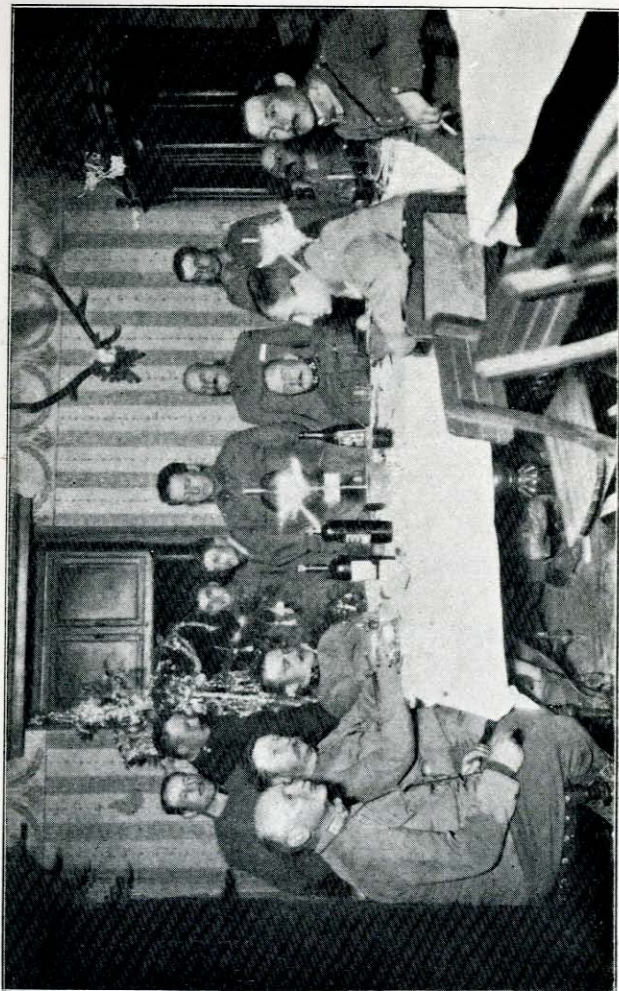
Idzie ksiądz kapelan przed front. Z nim kilku oficerów. Idzie polskim dzieciom w tę noc wojny zwiastować narodziny Tego, który był symbolem pokoju. Idzie dzielić się z synami Polski, walczącymi, uzbrojonymi, oplatkiem... Idzie na pasterkę, odprawioną w gotyckim kościele lasów szpilkowych, na białych taflach śnieżnych pól, pod baldachimem roziskrzonych milionów gwiazd na niebie, przed ogniskiem stosów, płonących dla ogrzania się o kilkadziesiąt kroków od okopów, wśród rzędów karabinów, paczek z amunicją, pak szrapneli..

Zbliża się północ. Małeńki szalas, na prędcie z choiny sklecony. W nim dokonuje się misterium... Srebrzysty odgłos dzwonka. Podniesienie... W cieniu poza szalaszem pochyla się kilkaset głów, przypada do ziemi kilkaset ciał...

Bum — bum — bum! Huk silny, ciskający modlącym się w twarz falę powietrza, grzmot, odbijający się o góry i lecący dokoła. To na froncie, o kilkadziesiąt kroków przed szalaszem, grzmią armaty, wre bitwa...



Artylerzyści na pozycji.



Wieczór wigilijny.

— Synowie Polski! Żołnierze! Legioniści! —  
poczyna kazanie nasz kapelan, młody, o płowych  
włosach, jasnym przejrzystym oku X. Antosz,  
a w głosie drzy coś, jakby strunę zwilżono słoną  
lzą. Dzisiejszy wieczór spędzacie...

Bum! — Nowa salwa.

— ...to dla matki, dla idei, dla Polski...

Z oddali idzie łomot straszny. O kilka kilome-  
trów na przedzie stoją armaty rosyjskie i wałą!

— ...ten, co zwiastował pokój Boży na ziemi...

„Dystans trzy tysiące pięćset! Pierwsze działo —  
ogień“!

Słowa komendy mieszają się ze słowami ka-  
plana.

Suchy trzask i — bum! Grzmot przesywa po-  
wietrze.

— ...ci, co polegli dla matki...

„Drugie działo — ogień!“

A potem siedzi dokoła ogniska, karabiny oparl-  
szy o ramię, gromadka:

„Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi,  
Wstańcie pasterze, Bóg się wam rodzi...“

Ksiądz kapelan i towarzyszący mu oficerowie  
wracają przez stok do wsi.

Dawno już po północy. Coraz dalej grzmoty  
armatnie i coraz ciszej dolatują dźwięki kolendy,  
śpiewanej na okopach:

Legiony w boju 6.

A Ty go Matulu z płaczu utulaj...“  
„Lulajże Jezuniu, lulajże lulaj,

Stajnia. Za dnia pełno tu było koni i rzędem stała tu uprzęż i wory owsa i pęki siana.

Teraz wieczera wigilijna. Oddział kawaleryi sztabowej zaprosił komendanta Legionów, by spędził kilka chwil w gronie swej przybocznej gromadki kawalerzystów. Na ścianach zwieszają białe derki, podłoga pokryta mchami, dokoła ścian wiją się festony gałązek choiny i błyszczą skrzyżowane szable, mające w pośrodku wysokie czako ułanów polskich. W środku stajni długi stół z najprymitywniejszą zastawą żołnierską; cynowe misy, blaszane kubki, gdzieś skądś zabłąkany puharek szklanny; w kącie płonie drzewko...

— Baczość! — komenderuje szef kawaleryi sztabowej, chorąży Górka.

Wchodzi komendant Legionów z kilkoma oficerami sztabu.

Na talerzu biały opłatek. Ręka twarda, przywykła do szabli, ręka młoda dwudziestoletnich kawalerzystów, drży, gdy sięga po opłatek i dzieli się z tym, który w tej chwili zastępuje ojca, dom, rodzinę, — wszystko...

-- Chłopcy moi, dzieci moje, żołnierze moi! Szedłem do stajni, a przyszedłem do pałacu... Bo tam, gdzie wy jesteście, stajnie zamieniają się w pałace...

I głos mu się załamuje, temu staremu wojsowi, co to tyle już widział i tyle przeszedł w twardej szkole żołnierskiego zawodu.

W pośrodku junackiej garstki siedzi general i z misy czerpie łyżką cienki barszcz, a oczy mu się śmieją i promienieją na widok młodzi. A im serce ze szczęścia taje i robi się rozgwar, i krasnieją policzki, i animusz bije z tych postaci, oderwanych od domu, od miesięcy włóczących się po karpackich wyżynach...

A potem chwila skupienia i ciszy. Bo oto poeta kawalerzyckiego oddziału, kapral Mączka, głosi słowa improwizowanego toastu:

„Wigilia — drzewko — stół — opłatki.

Wierście mi... wielka to godzina!

My — dzieci jednej, wielkiej Matki,

Wielka, żołnierska dziś rodzina.

Gdy tu opłatek wraz spożywa,

Wierście mi — chwila... osobiwa...

W Polsce! o jakżesz cudną bywa

Ta noc, w królewskiej śniegów szacie..

Tam każda chata dzisiaj — śpiewa!

Tam każde serce śpiewa w chacie

Pieśń, co w krag echem się rozchodzi.

Wieszcząc radosne: Bóg się rodzi!

W Polsce!... Dalekie — dawne czasy...

Zda się... latami przegrodzone...

Przeszliśmy góry, rzeki, lasy,

Pola — krwią żyźnie zaroszone...

By wreszcie głosy stęsknionemi,

Dziś kolendować... w obcej ziemi!



Precz smutek z czoła! Nam dziś trzeba  
Hartu! Stalowej ducha mocy!  
Wiary — w przewodnią gwiazdę z nieba,  
Co ma nas wieść — wśród ciemnej nocy  
Pomiędzy grotty armatniami  
Do Betlejemu — Polskiej ziemi!

Więc: sursum corda! w górę czoła!  
Toast tu wniesiem, o druhowie!  
Lecz pijcie — sercem — dookoła —  
Bo piję: szabli polskiej zdrowie!  
Za naszych piersi harde męstwo!  
Za bój o wolność! Za zwycięstwo!

Na śmierć tyranom — i na zgubę  
krwawemu Polski Herodowi!  
By rwać niewoli więzy grube,  
my jutro na śmierć iść gotowi!  
Więc skrzepmyż dzisiaj serca lasze —  
Komendancie! W ręce Wasze!

Leśniczówka. — Dokoła oparkaniony ogród,  
a w nim rzędem ustawione, świeżo z desek zbite  
stoły. Przed nimi ławy. Z wszystkich stron płoną  
luczywa i czerwonym blaskiem oświetlają sylwety  
siedzących rzędem przy stołach. Wiatr grudniowy  
przeszedł przez dolinę rzeki Nagy Ag, szumiącej  
opodal leśniczówki; zwilgła, nieprzymarza gruda  
łśni w odbłaskach ognia.

To wieczera wigilijna kompanii sztabowej,  
ordynansów, czeladzi. A między chłopcami siedzi  
ekscelencya. Nabral do cynowej misy kapusty  
i kartofli, wziął drewnianą łyżkę do ręki i —

wierny tradycyi panów polskich — spożywa ze  
swymi wiernymi wieczerę wigilijną.

A potem zbiera się sztab Legionów w małej  
izdebce leśniczówki, pełnej trofeów myśliwskich,  
rogów, wypchanych okazów ptactwa i zwierzyny  
górskiej. Zbierają się ci, którzy są duszą i ośrod-  
kiem akcji w Karpatach.

Ktoś na głos marzyć począł... Ktoś mówi... Ja-  
kieś widma snują się po izbie... Kościuszko... Dą-  
browski... Mickiewicz... Langiewicz... Traugut...  
Okrzeja... Jakies dźwięki idą po powietrzu...  
„Marsz, marsz — — — do Polski“...

W tem słychać głos telefonisty, tuż obok powta-  
rzającego tekst otrzymanej właśnie depezy:

„Grupa — — — zaatakuj — — — kota 821 —  
— — jeńców — — — odparty“.

To rzeczywistość, wciskająca się między tych,  
którzy choćby na ten jeden wieczór radziby od  
niej ulecieć...

Otwierają się na oścież drzwi i słup zimna staje  
w izbie. Sześćdziesiąt kilometrów na rumaku pe-  
dził goniec, by przywieść meldunek sytuacyjny  
grupy na skrzydle działającej. Posili się z nami,  
nabierze świeżego ciepła i jeszcze tej samej nocy  
wróci... Bo wojna nie zna, co to święta.

Podać wina! „Następny wieczór wigilijny, za  
rok, w — — — “. I to słowo święte, ta wielka na-  
zwa grzęźnie w gardzieli. Wszyscy czujemy, wszy-

scy widzimy, gdziebyśmy następną wilię spędzić radzi...

W tem z cicha otwierają się okna i z ogrodu wpada kłęb dźwięków, ulatających z młodzieńczych piersi. Zebrali się nasi chłopcy i śpiewają „kolendę sztabową“, jedną z tych wiązanek pieśni, której matką jest chwila:

„W dzień Bożego Narodzenia  
Radość wszelkiego stworzenia —  
Dziś w Legionach wielkie święto:  
Ofensywę rozpoczęto!  
Rozpoczęto!“

Idzie strofa za strofą — każdy w niej jest —  
każdy swój konterfekt znajduje. A kończy się:

„Panie Jezu — Dziecię małe,  
Dajże nam zwycięstwa chwałę!  
Niech w żołnierskiej tej kolendzie  
Chwała Tobie wieczna będzie —  
Wieczna będzie!“

Tak płynie ta jedyna, tajemnicza, wielka, pełna pobożnego czaru noc. Pierwsza to noc, którą obecna generacja młodzieży polskiej spędziła w ten sposób. Wyrwano ją z objęć rodziny, pozbawiono domu — a ona w środowisku obcym stworzyła sobie cudowną łaską swego zapалу dla Idei, tę wzniosłą, jedyną noc.

Na tej przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów wyżu, wśród tych szczytów górskich, w tych oko-

pach, wedetach, placówkach, szałasach, szpitalach siedzą synowie Polski i wyczarowują sobie w tę noc obraz przyszłości świetlanej. I wierzą. Wierzą, że jak w stajence narodził się On — tak i w ich męce i trudach, ich ofierze krwi i życia narodzi się Ona — Polska.

---

## WOJNA GÓRSKA.

Spoglądamy na kwartał doświadczeń wojennych: możemy się już pokusić o zbilansowanie tych doświadczeń, uzyskanych trzymiesięczną nieprzerwaną służbą polową.

Październik, listopad, grudzień spędziliśmy w Karpatach. Na czterech terenach operacyjnych. Na linii Maramaros-Sziget-Körösmezö; Taraczköz-Nadworna; Worochta-Żabie; Huszt-Ökörmezö. Na wszystkich tych terenach prowadziliśmy wojnę katexochen górską. Szliśmy z góry na góry; spędzaliśmy wroga z gór; okopywaliśmy się na stokach górskich; windowaliśmy na góry nasze armaty; nasze patrole szły lasami, zalegającymi góry; nasza kawalerya cwałowała przez przełęcze górskie.

Jaką wartość miała ta wojna górską dla Legionów? Z dwóch punktów widzenia: militarne i moralne. Militarne — jako szkoła żołnierska, moralne — jako ukrzepienie, zahartowanie, zmęczenie.

Przypomnijmy sobie: chwila, w której opu-

szczyliśmy u schyłku lata, a z początkiem jesieni, Kraków. „Deportacja!“ — krzyczano. „Idą na przepadle!“ — szeptano po kątach. „W górskim terenie zniszczają“... „Gdzież tam młodemu żołnierzowi wojować w górach?“ A inni: „Wynarodowia się“. „Stracą kontakt z krajem“. „Spopieleje zapał, zgaśnie iskra, gorejąca na dnie dusz“.

Tak mówiono. A my dobrze wiedzieliśmy, że tak poza nami mówiono. I nic sobie z tego nie robiliśmy...

Bo wiedzieliśmy, a tym, którzy nie wiedzieli, powiedzieli ci wśród nas, których głos jest kompetentny, że nic tak żołnierza fizycznie i moralnie nie rozwija, kształci, nic tak nie przeobraża w pełnego bojownika, jak wojna górską.

I tak też się stało. Spoglądając teraz w trzymiesięczną przeszłość — widzimy to jak na dłoni.

Wojna górską jest przede wszystkim szkołą samodzielności i taktycznego wyszkolenia. Góry usamodzielniają żołnierza, stawiają wielkie wymagania nie tylko co do jego bitności, lecz również wielkiego napięcia wszystkich władz psychicznych, daru orientacyjnego, szybkości decyzji.

Na przykład: Legiony mają zająć pewien teren. Teren poprzegradzany szczytami górskimi, jarami, wąwozami, strumieniami, lasami, polanami. Każda z kompanii, każdy pluton staje się z miejsca czemś całkowitem, samodzielnym, uniezależnionem od siebie. Bardzo często trudno o łączność

z bocznymi formacjami, których nietylko, że nie widać, ale do których trudno się dostać. Każda najdrobniejsza kolumna staje się ośrodkiem samodzielnej akcji, każdy komendant, choćby najmniejszego oddziału, jest zdany na własną inicjatywę, własną pomysłowość, własną decyzję. A to wyrabia żołnierza, czyni go mocnym.

Albo: wysłała się patrol w góry. Daje się mu rozkaz dotarcia do pewnego punktu, wykonania pewnego zadania. Z chwilą wymarszu w góry, patrol staje się czemś samodzielny. Bo działać musi wśród warunków, zastosować się musi do okoliczności, które wysyłającemu są niewiadome.

A tej samodzielności oficerowie i legionieści dopiero uczyć się musieli. W twardej, ciężkiej służbie górskiej wojny. Oczywiście, z początku niejedno przytrafiło się wykolejenie, niejedno dowódca oddziału, straciwszy z powodu górzystego terenu kontakt z rozkazodawcą naczelnym lub łączność z działającymi po bokach oddziałami — nie doszedł tam, gdzie powinien lub doszedł nie w porę, ale z czasem, z gromadzącymi się doświadczeniami, doprowadziły Legiony do wielkiego wyszkolenia strategicznego i wielkiej taktycznej doskonałości.

Oczywiście, takie forsowne, w niemal 50 potyczkach i bitwach, jakie w trzech miesiącach karpackich bojów przeszły Legiony, zdobyte wydoskonalenie pociągnąć musiało i straty i odpadki

Lecz cóż znaczą straty w stosunku do tego, czego się reszta nauczyła! Oczywiście, nie ze stanowiska humanitarności, ludzkości. Bo z tego punktu widzenia każdej jednostki żal i ból ściska serce, że nauka zdobyta została takimi ofiarami... Ale z punktu widzenia militarnego, ze stanowiska idei militarystyki polskiej, z baczenia na przyszłość, to sprawa jakże inaczej się przedstawia!

Dziś mamy oficerów, podoficerów, żołnierzy, którzy bogaci są w doświadczenia, oswoiili się z ogniem wśród najcięższych warunków terenowych, zahartowani są trzymiesięcznym zmaganiem się. Dziś ośmnastoletni chłopcy, nieco tylko dawniej poduczni, chłopcy, którzy prawie nie strzelali, a huku armatniego nigdy nie słyszeli — są dojrzałymi mężczyznami, dla których żadna opresja nie nowina, żadna sytuacja zbyt ciężka, iżby się z niej wydostać nie można. Dziś posłać gdzieś słabą kompanię legionową, to zdziała więcej, niż dawniej batalion. I o ile z początku z lekkim myślano: tych ochotników, pełnych wprawdzie zapału, ale nowicyusy żołnierskich, wysłać się na najtrudniejszy teren wojowania — o tyle dziś z satysfakcją głośno powiedzieć można: żelazny

mus, twarda szkoła, nieustanna walka, doprowadziła do napięcia całej energii, wydoskonaliła, uczyniła legionistów wyborowem wojskiem.

Taksamo krótki, trzymiesięczny czas naszego pobytu w Karpatach w niwecz obrócił i inne obawy, które przejawiały się, gdyśmy ruszali w pole, obawy — wynarodowienia się.

Przyjdźcie i patrzcie! Przybądźcie kiedy, wy, którzyście wlewali jad zgorzknienia w dusze narodu i strasziliście słabych fantomem odstępstwa narodowego tych, którzy poszli bronić wałów granicznych Polski!

Patrzcie, jak tętni życie narodowe w Legionach, jak twardo myśl stoi przy Polsce, jak serca gorące i jak mocno w duszach zakorzenione: wszystko jedno dla Polaka, gdzie go postawią, byle go postawili naprzeciw — Moskale, byle walił w narzędzia krwawego cara!

I bardzo znamienny, bardzo charakterystyczny objaw, który dopiero w roku 1914, tylko w Legionach, się przejawił! Siła atrakcyjna polskiego narodu, polskiego oręcza wobec otoczenia, wobec innych środowisk.

Miała Polska niepodległa, Polska przed rozbiorami, wielką moc przyciągania, wielką siłę atrakcyjną, wielki pęd dośrodkowy. Przybieżali w średnich wiekach Niemcy i przetwarzali się w doskonałych Polaków. Byli Ormianie, Litwini, Wło-

si, Francuzi, Rusini. Wchłaniała ich Polska swą siłą atrakcyjną, bogacąc się napływowym elementem.

Czasy porozbiorowe zmniejszyły tę siłę atrakcyjną. Coraz trudniej, coraz oporniej szło z elementem napływowym. Jeszcze Mickiewicz mówił o „Litwie — Ojczyźnie“; w pierwszym dziesiątku lat 20-go stulecia już tak, niestety, mówić nie można było... Jeszcze w pierwszych latach 19-go wieku Ruś była naszą. A czyż przy końcu wieku kwestya ruska nie była wieczną wylegniarnią fermentów?

Cóż widzimy? Z Wiednia mamy już trzy pełne kompanie, w większości swej złożone z wiedeńczyków, a słuchające komendy polskiej, śpiewające polskie pieśni, idące w bój dla — Polski. Z Budapesztu przyszła kompania — Węgrów. Gdyśmy byli w Huculszczyźnie, przyszli Huculi i doskonałą, jako osobny oddział, pełnią służbę...

I jeśli mowa o „wynaradawianiu“ — to chyba mówić mogą ci, którzy do nas przyszli i — wciąż dalej przychodzą, jako Niemcy, Węgrzy, Huculi

itd., by w świętym ogniu boju dla Idei przetapiać swe dusze, przetwarzać się, przenikać ideologią środowiska, wśród którego i z którym walczą. A pobratymstwo, zawarte na polach chwały, to kit chyba najsilniejszy...

---

---

## XII. PRÓBY SYNTEZY.

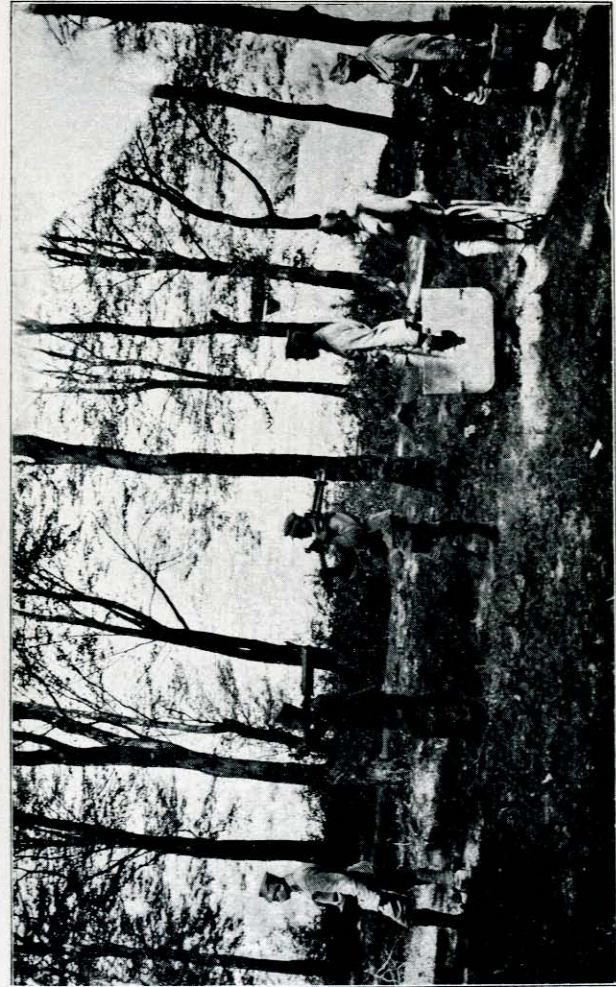
A przecież żołnierz nasz się trzyma! Przez szereg miesięcy jest w ogniu strasznym, krew w żyłach ścinającym, przed frontem, zięjącym zniszczeniem! Przez tyle czasu przechodzi tak nieludzkie wprost trudy! Śpi tygodniami w szczerem polu, na podściółce śniegu, ledwo przed zimowym wiatrem ochroniony cienką gałęzią choiny czy kilku, na prędcie skleconymi deskami. Maszeruje dniami i nocami, dźwigając na młodych swych plecach brzemię ciężko opakowanego tornistra, wspina się na strome szczyty górskie, przelegiwa bez ciepłej strawy nieraz całymi dniami w rowie strzeleckim. A przecież się trzyma! A przecież Legiony walczą obecnie z tą samą pasyą i tym samym zapalem, co w październiku! Mimo braku uzupełnienia, mimo, iż uprzednie wyćwiczenie było niedostateczne, uprzednia organizacja tylko w najogólniejszych zarysach przeprowadzoną, mimo strat, jako, że wojna z natury swej musi powodować straty, a obecna powoduje je w wysokim stopniu. Mimo to wszystko — żołnierz polski jest,

i to jest coraz silniejszym, bitniejszym, wytrzymalszym.

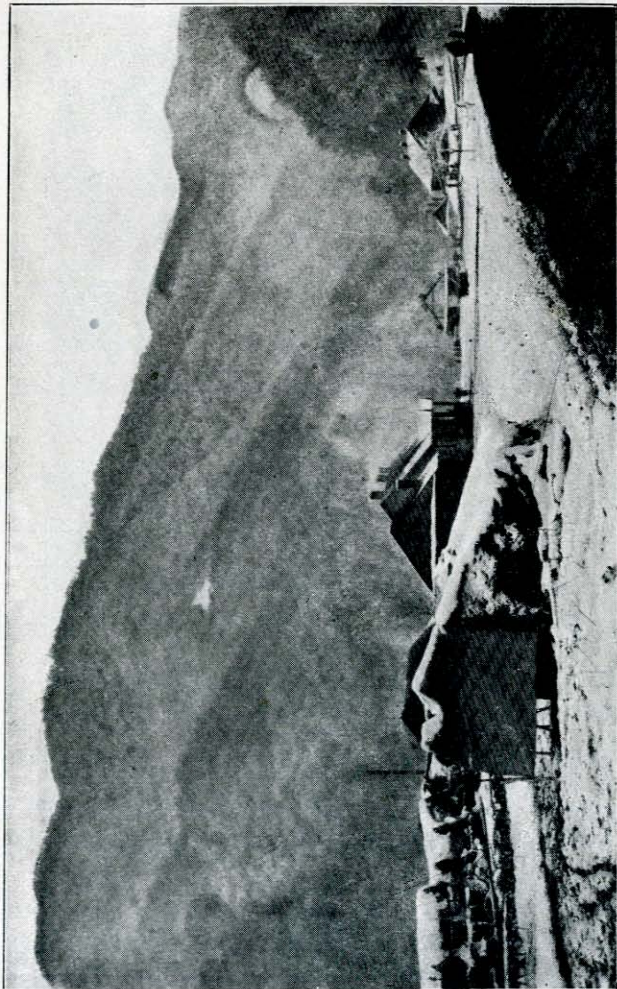
I tu się przejawia wartość idei dla formacji bojowej. Nie o wszystkim decyduje siła fizyczna, liczba, tresura, nawet wyższość i ilościowa przewaga broni. Są te elementa w wojnie konieczne. Lecz nie decydujące. Zwłaszcza nie wtedy, gdy do nich nie przyłącza się czynnik jeden — idea. Dopiero stop idealny wszystkich elementów wojennego rzemiosła — siły fizycznej, liczby żołnierza, jego wyćwiczenia, wysmienitej broni — z czynnikiem moralnym, ze stanem psychicznym duszy żołnierskiej, łaknącej boju, z ideowością bojownika, dopiero ten stop stwarza doskonałość.

Legionista jest ideowcem. Jako taki, ochotnie, z własnego popędu wdział mundur, zarzucił karabin na plecy. I tą swą ideowością opancerzył się silniej niż najtwardszą stalą.

I oto rozwiązanie problemu, dlaczego ten młodzian, który w pierwszej połowie roku 1914 jeszcze oddawał się lekkim zajęciom szkolnym, niezbyt ciężkiemu zawodowi rzemieślniczemu czy intelektualnemu, który fizycznie jeszcze w przeważającej większości nie doszedł do pełni rozkwitu męskiego — rzuciwszy się w straszny wir zawieruchy światowej, miotany z jednego terenu operacyjnego na drugi, wyężdżając nadludzko swe siły — przecież to wszystko wytrzymuje! Ba, coraz lżej wytrzymuje...



*Oddział karabinów maszynowych podsuwających się pod pozycję.*



*Na przodczy ockörmekicj.*

Patryotyzm i zawziętość, umiłowanie sprawy i zapamiętałość, — oto siły, działające nań ożywczo, wsączające w zmęczone jego ciało wciąż odnawia się życiowo, odradzające go po każdym forsownym marszu, każdej potyczce, każdym trudzie.

Lecz poza tą pryncypalną kwestyą, dającą wyjaśnienie, jakim to przyczynom przypisać należy fakt, iż żołnierza naszego po półrocznej niemal wojnie nie zmoła mordęga, piekło współczesnego sposobu wojowania, znajduje się mnóstwo problemów, domagających się również wytłumaczenia.

Tu samą psychologiczną analizą, samem wnikaniem w stan uczuciowy, w stronę ideową — wytłumaczenia nie sposób znaleźć. Tu do uświadomienia prowadzi — doświadczenie. Tu trzeba mieć wzrok skierowany w środowisko naszych Legionów, wciąż być z naszym wojskiem, poznać i znać je, patrzeć od zewnątrz ku wewnątrz, doświadczać wraz z Legionami, — by z doświadczeń Legionów dochodzić do norm ogólnych, do przejawów syntetycznych.

Legionista przedstawia w ogromnej swej większości typ żołnierza-inteligenta. W dwojakim stopniu pojmowania tego wyrazu. Legionista jest bądź „inteligentem“ w znaczeniu odbycia studyów, posiadania pewnej sumy wiedzy, wygimnastykowanego mózgu, urobionych sądów, bądź w zrozu-



mieniu tej przyrodzonej inteligencji, tego otwartego spojrzenia w świat, tego uświadomienia, które go różni choćby np. od wrogów, do których strzela, a którzy w większości swej uświadomienia tego nie posiadają, są ciemną masą, pędzoną cudzą wolą.

To, iż przeważająca większość Legionów składa się z ludzi, przynależnych do inteligencji, pociąga za sobą — o ile patrzeć będziemy na ten fakt i oceniać go ze stanowiska wojskowego — następstwa dodatnie i ujemne.

W ogniu, w boju, na froncie ma ten fakt same dobre strony. Wartość naszego legionisty jako piechura, znakomicie wzmaga jego niezaprzeczalną inteligencya. Kompania — to nie trzoda owiec z pasterzem na czele i kilku psami owczarskimi po bokach. Im więcej w kompanii elementów inteligentnych — tem w nowoczesnej wojnie lepiej. Kompania walczy w tyralierze, rozsypując się na tyle odrębnych niemal, a często niezależnych od siebie całości, z ilu jednostek się składa. A wtedy trzeba samodzielności, zrozumienia dla akcji. Jedno i drugie posiada nasza piechota. Jeszcze w większym stopniu inteligencya potrzebna w artyleryi, gdzie i aparat wojenny kunsztowniejszy i konieczność posiadania wielce skomplikowanych wiadomości wojskowych niezbędna. Nie inaczej rzecz się ma z kawaleryą. Tu spryt osobnika odgrywa olbrzymią rolę, tu do-

brym patrolistą, dobrym wywiadowcą w terenie nie będzie nikt, kto nie ma silnie rozwiniętej przyrodzonej inteligencji, nie dysponuje tą wyższością intelektualną, jaką daje dopiero prawdziwa inteligencya.

I oto, dlaczego legioniści w każdym gatunku broni stają się wkrótce tak wytrawnymi, dlaczego pierwotnie ograniczeni do ćwiczeń niemal tylko teoretycznych w bardzo szczupłym zakresie działania, siłą swej inteligencji wkrótce opanowali najmisterniejsze rodzaje broni, nauczyli się obsługi armat i górskich i polowych, i dawnych systemów i najnowszych szybkostrzelnych, obchodzenia się z kunsztownym aparatem karabinów maszynowych itd.

Lecz również i z psychologicznego stanowiska na rzecz patrząc, widzimy, jak kultura i inteligencya legionistów naszych niepomrotnie się przyczyniła do podniesienia wartości moralnej naszych żołnierzy. Oba czynniki psychiczne, tak ważne w boju; odwaga i panowanie nad sobą — rozbłysnąć w całej pełni mogą tylko w osobniku inteligentnym! Nieinteligentny ma odwagę rozpacz, a nie odwagę czynu, świadomego środków i celu; nieinteligentny nie zapanuje w chwili krytycznej nad sobą, lecz przeciwnie: wszystkie przeszkadzające w boju instynkta nad nim.

Naprzeciw tych dodatnich objawów, wynikających z faktu, iż przeszło 80 procent legionistów

należy do inteligencji, stają jednak i ujemne, złe strony.

Inteligent-legionista ma większą skłonność do krytyki, do rozcinania skalpelem analizy tego, co — zwłaszcza z punktu widzenia żołnierskiego — nie znosi żadnego krytykizmu. Żołnierka — to rozkazodawstwo i bezwzględny posłuch. Dowodzący nie ma potrzeby dostarczania argumentów na uzasadnienie swych rozkazów; żołnierz nie ma prawa podglądania pod to misterne przedziwo, w którym tak różnorakie nici zbiegają się w jeden deseń rozkazu. Krytycyzm w służbie wojskowej, a zwłaszcza na wojnie — to wróg, może gorszy od tego, który naprzeciw stoi z bronią w ręku, to rozsądzenie karności, to siew zgorzknienia.

A drugi ujemny objaw, częściej występujący u żołnierza-inteligenta: większa butność, przeholowanie w samowiedzy, coś z tego samochwała, o którym już polski satyryk pisał jako o „miles gloriosus“. Butność — o ile się zwraca przeciw nieprzyjacielowi — jest objawem dodatnim, wprost znakomitym; o ile jednak zwraca się przeciw ludności cywilnej, innym rodzajom broni, przeciw członkom innych armii — jest objawem ujemnym.

Na froncie nieżyczliwi nam wcale nie mają punktów zaczepnych dla złośliwych obserwacji. Bo na froncie, w linii, w boju, najzawziętsi nieprzyjaciele chylą, chylić muszą czoła przed legionistą, jego sprawnością, bitnością. Tu same dodatnie cechy się ujawniają, tu żołnierz-inteligent jest pierwszorzędnym, bezkonkurencyjnym materiałem bojowym.

My wiemy: inteligent-legionista rzu-  
cił na szalę losu wszystko! Siebie, życie swe, był  
swój materialny, egzystencję tych, których naj-  
bardziej miluje — rodziny, żony, dzieci... Cóż  
wobec tego znaczą małostkowe sądy zewnętrzne,  
płaska miara wygodnickich! A zresztą, z punktu  
widzenia czysto-militarnego: cóż z armii, z tyłu  
doskonale się reprezentującej, a z przodu ucieka-  
jącej? Nasz legionista jest żołnierzem — na fron-  
cie, w pierwszej linii bojowej!

I dlatego z tych wszystkich „ocen“ żołnierskości  
naszych legionistów, skuteczniejszych z punktu  
widzenia „Hinterlandu“, jaknajmniej sobie robić  
trzeba. Niech tylko i nadal legionista wobec wroga  
będzie tak pełnym cnót żołnierskich, jak dotych-  
czas!

---

## GOSPODARKA I INSTYTUCYE.

### a) *Intendantura.*

Ogół najczęściej albo zupełnie niema wyobra-  
żenia, albo ma błędne, niedostateczne — co to zna-  
czy gospodarować w takim środowisku, jakim  
jest armia. Ogół wie: armia maszeruje, walczy,  
zdobywa. Ale ta armia musi być ubraną, musi  
jeść, musi otrzymywać broń. Wciąż, bez najmniej-  
szej przerwy. Ta armia jest w wiecznym ruchu.  
Dziś tu, jutro kilkadziesiąt kilometrów dalej. Dziś  
otrzymuje obiad w kwaterach, jutro w okopach.  
Jak to wszystko jest urządzone? Źle zaprowianto-  
wana i wyekwipowana armia do tygodnia zmar-  
nieje. Dobrze zaopatrzona walczyć będzie miesią-  
cami z niesłabnącym zapalem.

Legiony miały pod tym względem szczęście. Go-  
spodarka legionowa funkcjonuje wyśmienicie. Od  
samego początku. Legionista ma zawsze dostate-  
czny ekwipunek, zawsze i dobrze je.

Otoczony jest w swej ciężkiej, zaszczytnej służ-  
bie opieką najstaranniejszą. Sam o swych potrze-  
bach materialnych ani przez chwilę myśleć nie

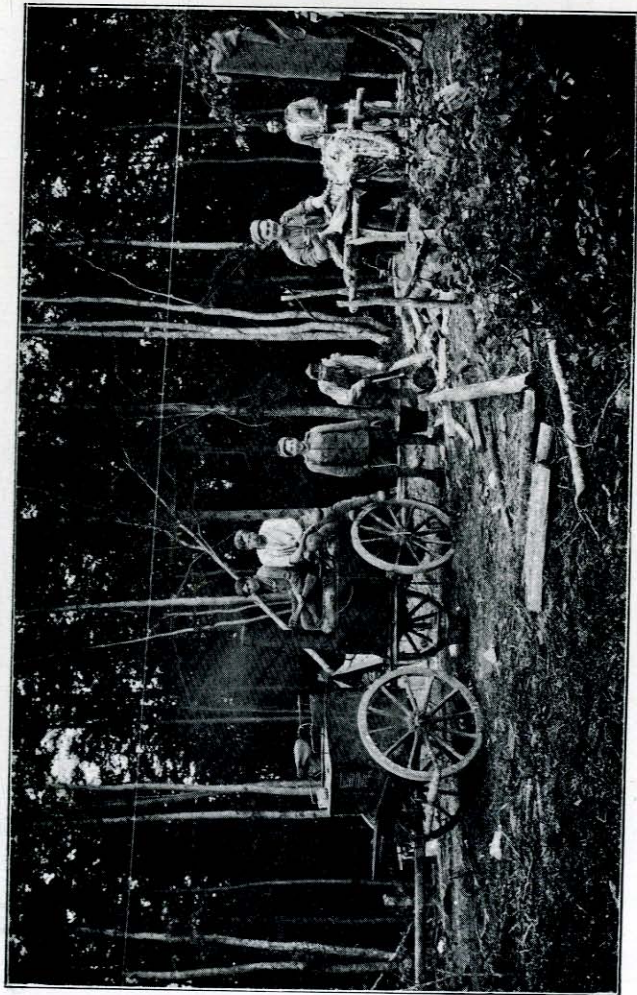
potrzebuje. Myśli zań — intendantura, myśli żywiciel Legionów, nadintendant Waclaw W i s z e k ze swym personelem.

Był to nadzwyczaj szczęśliwy traf, iż komenda armii tego właśnie, wytrawnego, doświadczonego i pełnego zrozumienia dla wyjątkowej sytuacji Legionów męża, przydzieliła jako szefa naszej intendantury. W tym niskim, krępyim oficerze tkwi niespożyta energia, gotowość do pracy ponad przeciętną miarę, a co najważniejsze: serce, umiłowanie Legionów, troska o każdego z osobna, stosunek dobrego ojca do dzieci.

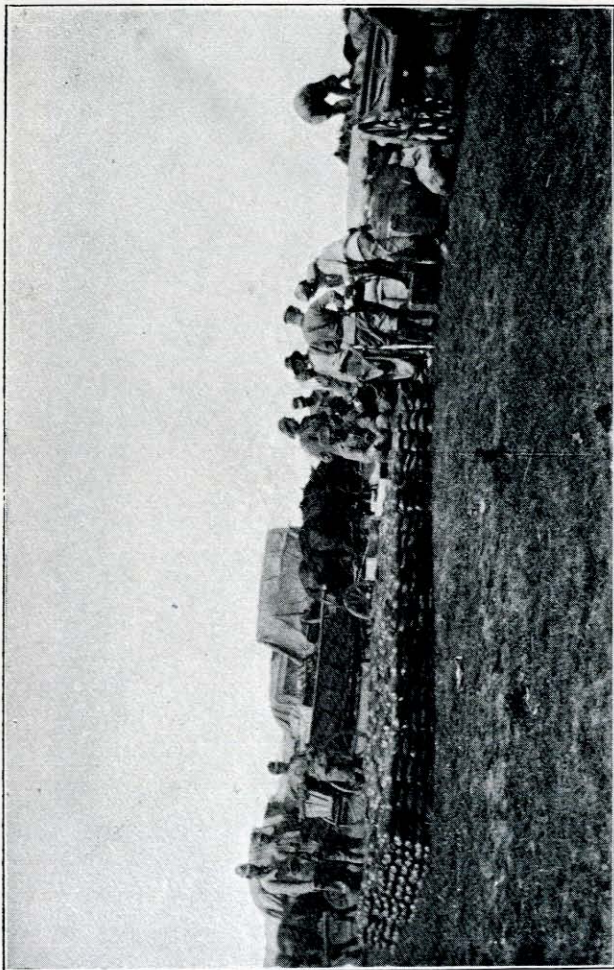
Nadintendantowi Wiszkowi zawdzięczam poniższe daty, z którymi chcę się podzielić z ogółem naszego społeczeństwa, by wiedziało, jak synowie jego żyją, jak są zagospodarowani.

Czem w dobrze prowadzonym domu gospodyni, tem w zbiorowisku żołnierskim intendantura. Jej obowiązki są najrozmaitsze. Ma ona zaopatrywać wojskowość w żywność, mundury, bieliznę, buty, w sanitarne potrzeby, w uzbrojenie i amunicję, wreszcie w rzecz, którą nikt nie pogardza: pieniądze.

Ba, ale nietylko musi w to wszystko żołnierza zaopatrywać — trudność polega na tem, aby to wszystko dowieźć na czas do oddziałów, przed front, w każdoczesne miejsce pobytu żołnierza. Cała sztuka w tem, aby na tygodnie, miesiące



*Kuchnia ruchoma.*



„Fasimek” - chlebka.

wprzód zaopatrzyć się we wszystko, aby ustalić doświadczeniem, ile wozów, juków itd. potrzeba, aby nawet przez pół dnia żołnierz nie zaznał głodu, ile czasu trzeba, by zakupy go doszły.

I jeszcze jedna trudność: dostosowanie się do pór roku, do rozmaitych warunków atmosferycznych, wpływających i na utrzymanie żywności i na jej transport. W lecie potrzeby na ogół mniejsze, zimą wyżywienie, odzianie i zakwaterowanie wojsk stawia wzmożone wymogi. Zimą porą dołącza się ważna troska: umieszczenie ludzi i koni pod dachem, ochrona przed mrozem.

Zacznijmy od „nervus rerum” wszelkiej gospodarki — pieniądza. Już stary Montecucculi powiedział, że do prowadzenia wojny potrzeba trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Każdy oficer musi otrzymywać swą gaźę, każdy żołnierz swój żołd.

Wojna spotrzebowuje mnóstwo produktów. A te trzeba zakupić. Łatwiej gospodarować wojskom, które już w czasach pokojowych zebrały wiele materiałów, przedmiotów ekwipunku i wyżywienia, które mają daty z doświadczenia czerpane, ile będą potrzebowały każdego materiału. Inaczej było z Legionami. Te powstały dopiero z chwilą wybuchu wojny, niczego wprzód nie miały, żadnych materiałów, magazynów, doświadczeń.

Więc w Legionach wszystko trzeba — kupować. Intendantura w ten sposób tu postępuje, iż oblicza, ile oddziały legionowe potrzebują na pewien czas pieniędzy na swe odzianie, wyżywienie itd.

Łatwo otrzymać pieniądze — trudniej je dostarczyć poszczególnym oddziałom legionowym. Więc intendantura nasza ustanowiła dwa terminy w miesiącu, w którym oddziały nasze mogą otrzymywać z kasy legionowej pieniądze: 1-go i 10-go każdego miesiąca. Lecz jak te pieniądze dostarczyć oddziałom? Przy skoncentrowanej dyslokacji Legionów musi niejednokrotnie oficer, zjawiający się w batalionie, szwadronie, baterii po pieniądze dla całego oddziału, często i 48 godzin jechać, aby dostać się do kasy legionowej — natomiast przy dyslokacji, rozciągającej się na setki kilometrów, nie sposób dotrzymać terminów. Dlatego też ustalili się u nas zwyczaj, iż po pieniądze oddziały przysyłają wtedy, kiedy jest okazja.

Pieniądz jest pierwszorzędnej wagi, za gotówkę można wszystko dostać, ale — nie tam, gdzie wojsko potrzebuje. Pieniądzy żołnierz nie zje, on chce — żywności.

Główną zasadą jest tu, iż żywność skupuje się tam, gdzie się wojsko znajduje. Z otrzymanych funduszy kupują sobie oddziały towar i wtedy żołnierz najprędzej dochodzi swego. Lecz dziać się to może tylko w tych okolicach, które same mogą utrzymywać i żywić skoncentrowane w nich

wojska. Z wyjątkiem kadry kawaleryi,

Legiony podczas całego swego pobytu w Karpatach nigdy nie mogły się wyżywić na miejscu, tj. z zapasów żywności tej miejscowości, w której przebywały. To też głównym zadaniem intendantury naszej było, błyskawicznie się zastosowywać do każdorazowych dyspozycji dyslokacyjnych, na liniach operacyjnych natychmiast zakładać magazyny i wyszukiwać środki transportu, aby stale dostarczać wojskom, będącym w ciągłym ruchu, potrzebnych środków materialnych.

By rzecz przykładowo i jaśniej wytłómaczyć, obierzmy sobie z dotychczasowych terenów walk Legionów jeden: teren Kiralymezö-Nadwórna.

W połowie października otrzymały Legiony rozkaz przejścia przez Karpaty i wtargnięcia do Galicyi. Ostatnią stacją kolejową było Taraczköz. Z miejsca potrzeba tu było urządzić magazyn. Ponieważ okoliczne miasta jak np. Satmar Nemeti, Beregsass jeszcze posiadały dość środków żywności, trzeba było momentalnie w nich poczynić zakupy, postarać się o dostawców, którzyby wciąż dostarczali towarów. W ciągu 24 godzin w magazynie w Taraczköz było: 500.000 kg. ryżu, 20.000 kg. cukru i kawy, 300 wagonów owsa, 200 wołów itd.

Jeden jednak najważniejszy artykuł spożywczy nie daje się odrazu zakupić, lecz musi być

wciąż odnowa robiony, chleb. Jest to bardzo skomplikowana i trudna historia! Własnych piekarń nie mamy. Trzeba chleb zamawiać i transportować. Z jakimi to połączone było trudnościami, oto przykład: chleb wypiekali dla Legionów piekarze w Satmar, którzy codzień mieli obowiązek przysyłać dwa wagony chleba do Taraczköz. Stąd musiano go przetransportować wozami i jukami do oddziałów. A kiedy legionista mógł pod Nadvorną zjeść kawałek chleba, sporządzonego w Satmar? Oto cyfry: chleb wędrował koleją do Taraczköz (2 dni), przez jeden dzień został przeladowany z wagonu na wóz (1 dzień), trzy dni trwał transport do Holzschlaghaus na granicy węgiersko-galicyskiej (3 dni), tu następowało przeladowanie z wozów na juki (1 dzień), przez dwa dalsze dni wędrował do oddziałów (2 dni). W najlepszym więc razie, gdy wszystko doskonale funkcjonowało, żołnierz nasz 12-go dnia otrzymywał chleb, wypieczony dlań w piekarni. A mimo to spożywał go z apetytem... Ba, ale gdy coś w transporcie się „zatkalo“, gdy trzeba było przedewszystkiem dowozić amunicję, gdy deszcze lunęły i transport zwolnił — wtedy żołnierz je i 20 dni mający chleb.

Drugim, co do ważności, artykułem spożywczym, jest mięso. Nieliczne w obrębie linii marszu wojsk znajdujące się woły, wkrótce zostają spożyte i wtedy przejawia się konieczność sprowa-

dzania z dalszych stron. Do Taraczköz sprowadzano woły koleją, stąd pędzono je do oddziałów. Wojska same były bydło; w braku zawodowych rzeźników dokonywali tych czynności rozmaici ludzie; i tak w pewnych batalionach — inżynierowie zajmowali się rzeźnictwem. Jakie ilości mięsa dla Legionów były potrzebne, wynika z dat statystycznych, które podają cyfrę 750 wołów miesięcznie, jako ofiary konsumpcji mięsnej naszych żołnierzy.

Oczywista prócz powyższych dwóch głównych środków spożywczych: chleba i mięsa — musiała intendatura troszczyć się o dostawę wszystkich tych przedmiotów, bez których żołnierz żyć nie może. A więc wino, rum, herbata, cukier, kawa, jarzyny, — a więc mydło, tłuszcz do smarowania butów i czyszczenia broni, świece, zapalki, tytoń, a więc drzewo do palenia i budowania baraków, a więc przybory do urządzenia okopów, wedet itd.

Te wszystkie przedmioty trzeba było dowozić do oddziałów. Z chwilą, gdy Legiony oddaliły się od linii kolejowej — a w ciągu swych wielomiesięcznych zmagania w Karpatach stale przebywają w terenach, oddalonych od sieci linii kolejowej — trzeba było zorganizować treny etapowe. Toteż wiele przewidywania okazała intendatura, kiedy natychmiast z chwilą translokacji Legionów na Węgry weszła w porozumienie z rozmaitemi wła-

dzami politycznymi i już w połowie października zapewniła sobie 600 fur. Kalkulacja przytem była taka: trzeba było dowozić żywność, ekwipunek i amunicję dla tysięcy ludzi i tysięcy koni. Ciężar dziennej racji żywnościowej dla człowieka wynosi 1 kg., dla konia 5 kg., czyli wysłać trzeba było 55 fur obciążonych czterema cetnarami metrycznymi wagi. Turnusowy obrót z Taracköz do Holzschlaghaus u przełęczy pantyrskiej trwał 7 dni, więc trzeba było około 400 fur, zaś dla transportu ubrań, bielizny i amunicji dalszych 200 fur.

Lecz tych 600 fur, to dalsza troska! Bo na tych 600 furach siedzi 600 konsumentów jadła i 1200 koni, potrzebujących owies i siano. A więc znów dalsza podwyżka potrzeb! A dalej! Gdy Legiony przyszły na Węgry, były bardzo skąpo wyposażone w bieliznę, buty, płaszcze. A tu szła jesień, chłód. Stosy mundurów, koszul, góry butów piętrzyły się w naszych magazynach i trzeba je było wysłać na linię. Więc wciąż nowe powstają pociągi trenowe. Wreszcie stoi do dyspozycji Legionów 800 fur i przeszło 600 koni jucznych ze specjalnem zadaniem przenoszenia przez szczyty górskie żywności i towarów tam, gdzie wóz nie przejdzie.

Ta organizacja pociągów trenowych o kilkudziesięciu furkach, wiecznie krążących od podstawy linii etapowej do frontu i z powrotem, dokonała się wśród olbrzymich trudności. Legioniści po

prostu gospodarki wojskowej nie umieli! Nie było wyszkolonego, rutynowanego personalu. Świetni żołnierze, doskonali oficerowie frontowi — ba ale ani oficerowie czy podoficerowie trenowi, ani prowiantowi. Personal ten trzeba było dopiero uczyć, stworzyć. I jest to właśnie wielką zasługą nadintendanta Wiszka, że personal taki dobrał i wykształcił. I jeśli dziś mamy doskonałych funkcyjaryuszy, to są oni dzięki niez mordowanym wysiłkom naszego intendanta.

Osobnym punktem w działalności intendatury jest zaopatrywanie żołnierza w odzież. Głównie chodziło o bieliznę i buty. Każdy legionista wyruszył z Krakowa w jednej parze butów. A jak prędko je zdarł! Toteż statystyka intendatury podaje następujące cyfry: Już z końcem października z magazynu w Taracköz musiano rozdać między legionistów świeżych 9,000 par butów, w połowie listopada dalszych 3,000 par, z końcem listopada 2000 par i tak do dzisiejszego dnia! A jakie sumy bielizny dotychczas wydano! Jeśli powiemy, że każdy legionista dotychczas „wyfasował“ conajmniej 6 kompletnych garniturów bielizny — to łatwo wyobrazić sobie, ile dziesiątków tysięcy garniturów trzeba było sporządzić! Natomiast bardzo małe było stosunkowo zapotrzebowanie ubrań, bluz, spodni, płaszczy. A to dlatego, że legioniści mieli nowiusienkie i bardzo dobre mundury, a powtóre, że świetnie się ze swymi

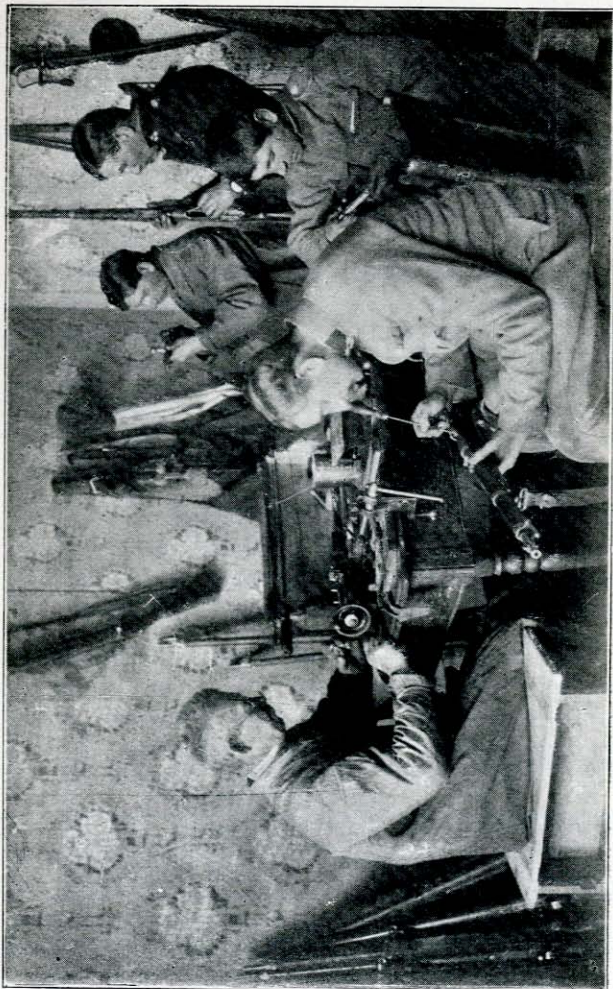


mundurami obchodzić umieją. To też dziś, po miesiącach, aż miło spojrzeć na oddział legionowy. Taki schludny, czysty!

Specyjalną troską intendantury było zastosowanie potrzeb materyalnych Legionów do zmiany pory roku, do nadejścia zimy. Kilka cyfr działalności tę najlepiej zilustruje: i tak trzeba było postarać się o 40.000 podków, o 160.000 koceli, urządzić 20 kuźni, postarać się o 10.000 koców dla ludzi i przeszło 3,000 derek dla koni, sprawić sanie, tak, iż każdy wóz może być natychmiast zmieniony w sanie, sporządzić ręczne sanki dla transportu żywności i amunicji w góry, na pozycje kompanijne. A cóż dopiero, gdy szło o ochronę żołnierza przed zimnem! Każdy legionista otrzymał ciepłe, flanelowe onucki, ciepłe pończochy, kominiarkę, ogrzewacze pulsów, nagolenniki, ochraniacze kolan; każdy oddział otrzymał potrzebną ilość namiotów i piecyków do namiotów.

Tęsamem jednak wcale nie jest wyczerpaną praca i zapobiegliwość intendantury. Długoby trzeba jeszcze pisać, by każdy szczegół uwydatnić. A więc trzeba podnieść, jak to początkowo cała konnica Legionów dysponowała tylko 500 garniturami uprząży — a trzeba było zaopatrzyć szwadrony, baterie, kawaleryę sztabową, treny, wreszcie oficerów kompanijnych, trzeba było mieć kompletne wyekwipowanie dla przeszło 2,000 koni,





Załad niszczycielski.

co się wreszcie po wielkich wysiłkach udało. A więc trzeba się rozwozić nad organizacją kolumny amunicyjnej, mającej dowozić amunicję dla linii; a więc nad dostarczaniem naszemu oddziałowi telefonicznemu materiałów; a więc nad zaopatrzeniem naszej kompanii narciarskiej w potrzebne przyrządy; a więc nad dostarczeniem naszej służbie sanitarnej potrzebnych środków, materiałów, przyrządów itd.

Lecz to zaprowadziłoby nas za daleko i przekroczyło ramy tej relacji.

Więc na zakończenie kilka charakterystycznych dat.

Jak wygląda linia etapowa, urządzona przez intendanturę, z jakich ogniw składa się ta kunsztowna linia, która prowadzi od bazy operacyjnej do frontu bojowego?

Weźmy np. linię etapową Taracköz-Nadwórna, urządzoną przez naszą intendanturę dla użytku Legionów.

Linia ta składała się z następujących ogniw:

Taracköz: komenda stacyjna etapowa, magazyn, stacja wyżywienia przechodzących oddziałów, stacja wysyłki chorych, stacja telefoniczna.

Nagy-Szóllös: komenda stacyjna etapowa.

Al Neresznica: komenda stacyjna, stacja telefoniczna.

Dombo: szpital stały, lazaret ruchomy, komenda stacyjna etapowa, stacja żywienia.

Kiralymezö: komenda intendatury, szpital, komenda chorych-rekonwalescentów, stacja żywienia, magazyn filialny, stacja bydła, stacja telefoniczna.

Brustura: komenda chorych-rekonwalescentów, szpital dla koni.

Holzschlaghaus: komenda stacyjna etapowa, magazyn filialny, stacja opatrunkowa.

Rafajłowa: komenda stacyjna etapowa, magazyn, szpital, stacja telefoniczna.

Tyle trzeba instytucji, by żołnierz mógł na froncie istnieć! Albo inne daty! Ile dotychczas w Legionach intendatura musiała urządzać tak zwanych stacji fasunkowych, w których oddziały mogłyby swe potrzeby zaspakajać? Wykaz miejscowości wskazuje, jaki ogrom pracy w to został włożony. Tembardziej że taka stacja, każdej chwili może być wraz z translokacją wojsk na inny teren zwinięta, stante pede przeniesiona, czasami o dziesiątki mil. A więc dotychczas w następujących miejscowościach mieliśmy takie stacje: Nagy-Szöllös, Taracköz, Dombo, Kiralymezö, Holzschlaghaus, Rafajłowa, Nadwórna, Żabie, Ardżeluża, Sinever, Bustyahaza, Vuckomezö, Dolha, Rokamezö, Huszt, Leordina, Fölsö-Viso, Borsal!

Wreszcie kilka dat, ile ogółem Legiony dotychczas spotrzebowały żywności! Chleba zjadło się

przeszło milion porcy; skonsumowano 3000 wołów; zjedzono 1000 cetnarów metrycznych ryżu, krup i jarzyn; wypito 10 wagonów wina; spotrzebowano 1000 hektolitrow rumu; 60,000 kg. cukru, 50,000 kg. kawy, 10,000 kg. herbaty; wypalono 10,000 metrów kubicznych drzewa opałowego; konie nasze zjadły 12,000 cetnarów metrycznych owsa i 10,000 cetnarów siana! Koszta utrzymania naszych wojsk (bez mundurów, butów, wyekwipowania i amunicji) wynoszą przeszło milion koron miesięcznie!

Dopiero w świetle tych cyfr uwypukla się, w jak olbrzymich rozmiarach prowadzoną być musi gospodarka, aby tym wszystkim potrzebom zadość uczynić w takiej mierze, iżby żołnierz mógł spokojnie, bez trosk spełniać swój zaszczytny obowiązek.

#### b) Urządzenia sanitarne.

Spotykam naszego szefa sanitarnego przy pracy. „Superrewizya lekarska“. Stoi w izbie kilku legionistów, a jeden z nich po pas obnażony z odzieży. Dr. Rogalski, pochylony, wsłuchuje się w szmer w płucach chorego legionisty. Badanie trwa długo. Boć tu o życie ludzkie chodzi, o to, czy badanego uznać za zupełnie niezdolnego do zawodu żołnierskiego, czy też poczynić na miejscu kroki zapobiegawcze lecznicze, by go po pewnym czasie znów mieć w ciężkiej, a zaszczytnej służbie.

Skończyła się wreszcie superrewizya. Do izby wchodzi lekarz-asystent z meldunkiem szpitala o stanie chorych; następnie konferencya z podoficerem, zarządzającym trenem lazaretu; potem skoncypowanie szeregu zamówień aptecznych itd. W izbie wciąż ruch, gorączkowa, wyężdżająca praca.

— Konsyliarzu — mówię do naszego szefa sanitarnego — czy można prosić o udzielenie kilku dat i wiadomości o czynnościach naszego sanitarnego oddziału od chwili wyruszenia w pole? Chciałbym to zużytkować dla książki. Boć zgodzi się kochany nasz szef z tem, iż opinia publiczna bardzo radaby wiedzieć, jak się nasi legionieści leczą, jakie środki ratunkowe stoją im do dyspozycji w razie choroby lub rany — i że poniekąd obowiązkiem jest zaspokoić tę naturalną ciekawość naszego społeczeństwa.

— Ależ i owszem! Oddział sanitarny nie ma niczego do ukrywania. Chętnie służę datami i faktami.

— A więc. Jak się przedstawia skład personalu oddziału sanitarnego?

— Mam do dyspozycji 22 lekarzy, 13 medyków-rigorozantów, 2 aptekarzy w lazarecie polowym i 154 sanitaryuszy.

— Jaki jest dobór sanitaryuszy?

— Na ogół bardzo dobry. Z pośród 154 sanitaryuszy, jest 40 młodszych medyków, reszta zaś

składa się z ludzi, przeważnie pochodzących z inteligencji, a specjalnie wyszkolonych w służbie sanitarnej.

— Jak się przedstawia rozdział poszczególnych sił lekarskich i pomocniczych między oddziały?

— Analogicznie do urzędzeń, używanych w c. k. armii. Nasza opieka lekarska obejmuje 2-gi i 3-ci pułk piechoty, naszą artyleryę, kawaleryę i oddziały karabinów maszynowych. Każdy batalion ma swego lekarza, jest wyposażony w obfitą ilość materyałów opatrunkowych, leków i przybibrów sanitarnych.

— A lazaret polowy?

— W lazarecie pracuje 10 lekarzy i 46 sanitaryuszy. Nasz lazaret jest ruchomy; urządziłem go w ten sposób, iż każdej chwili może działać w dwóch samoistnych, oddzielnych grupach. Lazaret daje się każdej chwili przetransportować z miejsca na miejsce. W tym celu wyposażony jest w 50 wozów, służących do przewożenia chorych i rannych na tyły, do szpitali dalej położonych. Każda z obu grup ruchomego lazaretu jest znów tak urządzona, iż w czasie akcji wojennej dzieli się na dwie części: na stację opatrunkową na linii bojowej, a równocześnie poza linią bojową na czasowy lazaret, w którym zostają umieszczeni ci ranni i chorzy, którzy chwilowo wskutek stanu zdrowia nie mogą być dalej na tyły odesłani. Kuchnia polowa dla rannych i chorych funkcjonuje

natychmiast z chwilą urządzenia w pewnym miejscu jednego z powyższych urządzeń sanitarnych.

— A jak się dokonuje transport rannych i chorych na tyły, do szpitali?

— Otóż to jest specjalną naszą troską i wymaga osobnej pieczy, by ranni i chorzy mogli być jaknajszybciej i najliczniej transportowani, a następnie, by w czasie transportu nie zaznali pogorszenia zdrowia. W tym celu w tych wypadkach, gdy bitwa spowodowała większe ofiary i jest nawal rannych, dostarcza tren etapowy potrzebnej ilości wozów do transportu; dalej na tych terenach, gdzie pole walki jest bardziej oddalone od stacyi kolejowej, gdzie zatem linia etapowa jest bardzo długa, kilkudziesięciokilometrową — tam urządzam etapowe stacje chorych. Tam to chorzy i ranni chwilowo niezdolni do dalszego transportu, są zatrzymani, tam się ich posila, w razie potrzeby wznawia opatrunek, a następnie dopiero dalej transportuje.

— A cóż się dzieje z chorym lub rannym, który wprawdzie już wyzdrowiał, opuścił lazaret lub szpital, a jednak nie czuje się jeszcze na siłach, by bić się, spełniać służbę w linii? Cóż się z tym dzieje?

— Ci rekonwalescenci przebywają w tak zwanych komendach chorych. Dotychczas mieliśmy w Legionach trzy takie komendy chorych, w miejscowościach Brustura, Kiralymezö, Bustyahaza.

Tu gromadzą się rekonwalescenci, nie potrzebujący już pielęgnacyi szpitalnej, jakoteż ci żołnierze z linii bojowej, którzy z powodu wyczerpania sił fizycznych chwilowo nie są zdolni do służby.

— Czy można teraz prosić, panie konsyliarzu, o kilka dat co do działalności naszej służby sanitarnej w poszczególnych fazach naszej akcji w Karpatach?

— Chętnie służę. A więc już w dzień po wywagowaniu Legionów w północnych Węgrzech, 6. października, urządza nasz lazaret ruchomy stacyę opatrunkową w miejscowości Tescö. Tu zaopatrzone 70 żołnierzy c. i k. armii, a z legionistów 11, którzy następnie odesłani zostali do szpitali.

Dnia 16. października zostaje lazaret ruchomy połowy urządzony kompletnie w miejscowości Dombo, na linii etapowej Taraczköz-Kiralymezö i tu funkcjonuje do 30. listopada. Lazaret ten gromadził rannych ze wszystkich potyczek i bitew (Pasieczna, Nadwórna, Bitków, Cucylów, Mołotków), które w drugiej połowie października się rozegrały. Równocześnie wystawił lazaret połowy podczas każdej z tych bitew stacyę opatrunkową tuż w pobliżu pola bitwy. W czasie tym zaopatrzone około 750 rannych i chorych legionistów (w tem 60 ciężko rannych). W ciągu listopada zależnie od sytuacji strategicznej naszych wojsk, urządzaliśmy prowizoryczne szpitaliki w szeregu miejscowości, a mianowicie: Brustura, Rafajłowa,

Zielona, Pasieczna, Nadwórna, Holzschlaghaus, Kiralymezö; na linii kolejowej, wiodącej z Maramaros-Sziget na zachód, urządziłem stację odprawy chorych koleją żelazną.

W pierwszej połowie grudnia, gdy Legiony walczyły na Huculszczyźnie, powstaje nasz szpital w Żabiem, a podczas bitwy pod Sokolówką i Jasieniowem górnym, stacja opatrunkowa w Krzywórnym, w której opatrzone 21 rannych.

Gdy dnia 10. grudnia Legiony zostały wysłane na czwarty teren operacyjny, celem obrony przełczy ökörmeskiej i bocznych przejść karpackich, podzieliłem nasz lazaret ruchomy na dwie części. Jedna osiadła w miejscowości Also-Koloca, druga w Vuckomezö. Obie części lazaretu funkcjonowały tu do 10. stycznia. W Also-Koloca zostało zaopatrzonych 60 rannych Legionistów i żołnierzy pospolitego ruszenia, w Vuckomezö, gdzie ponadto lazaret ruchomy urządził stację opatrunkową w bliżej przed front bojowy o 8 km. wysuniętej wsi Zapredjil — zaopatrzone około 80 rannych legionistów.

— A jak się przedstawia, panie konsyliarzu, wogóle stan zdrowotny w Legionach?

— Do połowy grudnia stan zdrowotny był na ogół dobry, z wyjątkiem sporadycznie występujących wypadków tyfusu, biegunki, zapalenia płuc i opłucnej. Tych wypadków było po kilka, co na ogół jest znikomym procentem. Szkarlatyny mie-

liśmy 8 wypadków, z tych 3 śmiertelne. Od drugiej połowy grudnia natomiast stan zdrowotny nieco się pogorszył. Wskutek niekorzystnych warunków atmosferycznych i złego pomieszczenia na terenie operacyjnym pod Körösmezö zaczęły się pojawiać coraz częstsze wypadki tyfusu, czerwoni i w znacznym stopniu (20 procent) chorób dróg oddechowych. Leczenie przeniesienie Legionów na nowy teren operacyjny przerwało na szczęście to szerzenie się chorób. Ogółem mogę z dumą i satysfakcją powiedzieć: nasi chłopcy, mimo swego młodzieńczego wieku, siłą swej żelaznej woli pokonują trudy wojenne. Conajmniej w takim stopniu, jak inne formacje bojowe...

#### c) Oddział telefoniczny.

Nowoczesna sztuka wojowania posługuje się wszystkimi zdobyczami wynalazczości 19-go wieku. Wprzęgła ona również w służbę wojny telefon, uczyniwszy go jednym z wybitnych środków pomocniczych rozkazodawstwa i służby informacyjno-wywiadowczej.

To też nic dziwnego, iż organizatorzy pogotowia wojennego polskiego jeszcze za czasów pokojowych zajmowali się intensywnie stworzeniem odpowiedniego personelu, któryby w chwili potrzeby stał na wysokości zadania.

Oto są początki tak zwanego oddziału telefonicznego przy związkach strzeleckich. Zajmuje

się on nauką sygnalizacji optycznej i stworzeniem kadry fachowo wyszkolonych jednostek, któreby były obznajomione z budową aparatów telefonów polowych i stałych, umiały je instalować i obsługiwać.

Z chwilą wybuchu wojny i pamiętnego wkroczenia pierwszych oddziałów strzeleckich na teren Królestwa, oddział ten liczący około 40 telefonistów, z miejsca rozpoczął działanie. Zbudował on linię telefoniczną od Kielec aż pod Kraków, oddając w ten sposób wielkie usługi.

Gdy przystąpiono do organizacji Legionów, część oddziału (około 20 telefonistów, pod komendą inżyniera Stanisława Żmigrodzkiego) wcielono do 1-go pułku, zaś z drugiej części utworzono przy komendzie Legionów oddział samodzielny pod dowództwem inżyniera Kazimierza Drewnowskiego, profesora lwowskiej szkoły przemysłowej i adjunkta elektrotechniki na politechnice, na którego informacjach opierają się poniższe wywody.

Ze skromnych początków wychodząc, rozszerza nasz oddział telefoniczny stopniowo zakres swej działalności, obficie korzystając z doświadczeń, nabytych podczas walk, przemarszów, postojów.

Zasadniczą jednostką służby telefonicznej jest patrol, składający się z sześciu ludzi, z których czterej służą do zakładania i utrzymywania linii polowych i stałych, dwaj zaś jako funkcyonujący telefoniści. Uposażenie patrolu składa się

z jednej kompletnej stacji telefonicznej polowej, w której skład wchodzi również przybory do sygnalizacji chorągiewkami i latarniami, dalej z dwóch aparatów telefonów rezerwowych, wreszcie 10 kilometrów drutu oraz przyborów i materiałów do budowy linii stałych. Wszystkie te aparaty i przybory znajdują się na wozie parokonnym, oddanym wyłącznie na usługi patrolu.

Komenda Legionów ma obecnie do swej dyspozycji oddział telefoniczny, składający się z czterech patroli, podzielonych na dwa plutony po dwa patrole. Prócz tego jest sekcya administracyjna, do której agend należą zakupy, prowadzenie magazynu dla oddziału i niższych jego formacji.

Przy komendzie każdego z naszych pułków istnieje pluton telefoniczny — a więc dwa patrole. Przy komendzie każdego batalionu i każdej baterji, istnieje jeden patrol.

Zadaniem wszystkich tych patroli jest łączenie Komendy Legionów z niższymi komendami aż do linii bojowej oraz połączenie oddziałów działających na froncie z tyłami, linią etapową, siecią telefonów państwowych.

Dzięki takiemu rozdziałowi służby telefonicznej na plutony i patrole, można uzyskać niemal równocześnie połączenie wszystkich komend naszych oddziałów ze sobą, dać im równocześnie rozkazy, otrzymywać każdorazowo meldunki sytuacyjne. W miarę posuwania się wojsk, równocześnie pa-

trole zakładają połączenia telefoniczne, tak, iż najdalej w parę godzin po przybyciu na jakieś ważniejsze stanowisko, komenda Legionów ma telefoniczne sprawozdanie z przebiegu jakiejś akcji, może telefonicznie wydać rozkazy i dyspozycje.

Prócz powyższych urządzeń z biegiem czasu i na podstawie nabytych doświadczeń, powstały dwa osobne patrole telefoniczne. Patrol konny telefoniczny, który ma prócz pewnych specjalnych zagadnień militarno-wywiadowczej natury za zadanie szybkie podjechanie pod miejsce, na którym połączenie się przerwało, celem doraźnej naprawy linii, dalej patrol narciarski telefoniczny, który stosownie do warunków terenowych podczas zimy oddaje ważne usługi.

Pierwszą próbą sprawności naszego oddziału telefonicznego było założenie linii polowej w Holzschlaghaus na granicy Węgier i Galicyi do Rafajłowej poprzez przełęcz pantyrską, wśród nadzwyczaj skomplikowanych stosunków terenowych. Równocześnie oddziałowi naszemu przypadło zadanie naprawy, utrzymania i użytkowania dla celów Legionów kilka istniejących prywatnych linii na linii Taracköz-Kiralymezö-Holzschlaghaus oraz Rafajłowa-Nadwórna, które były częściowo zniszczone przez ustępujące wojska rosyjskie. Długość tych linii, urządzonych i obsługiwanych przez naszych telefonistów, wynosiła przeszło 140 km.

Pierwszą próbę ogniową przebyli nasi telefoniści w Pasiecznej. Moskale, zmuszeni przez nas do cofania się, ostrzeliwali dla ukrycia odwrotu swej piechoty, nasze pozycje i wzięli pod silny ogień armatni Pasieczną. W lokalu zarządu towarzystwa „Nafta“ mieścił się nasz aparat telefoniczny. Dokoła padały szrapnele, a w izbie z największym spokojem nasz telefonista przyjmował meldunki i wysyłał rozkazy. Jeden z naszych oficerów sztabowych, siedzący przy aparacie w Bitkowie, łączy się z naszą stacją w Pasiecznej i przyłożywszy do ucha słuchawkę, słyszy najwyraźniej odgłosy strzałów armatnich...

Nadzwyczajną przytomność umysłu i odwagę okazał nasz telefonista podczas bitwy pod Nadwórna. Wojska nasze opuszczają miasto i ruszają w kierunku Pasiecznej. Telefonista jednak pozostaje przy swym aparacie. Moskale są już u bram miasta — telefonista niewzruszony melduje, co się wokół dzieje. Wreszcie ostatni meldunek: Moskale w mieście! — niszczy stację telefoniczną, a sam lasami przedziera się do swoich...

Na następnym naszym terenie operacyjnym, na Huculszczyźnie, oddział nasz utrzymuje linię polową z Wcrocchy do Żabiego i linię stałą z Żabiego przez Jasieniów górny do Jaworowa i Sokółki. Razem około 70 km.

Ciężką robotę miał nasz oddział pod Ökörmezö. Tu musiano zakładać linie polowe na poszcze-



gólnych posterunkach naszych batalionów piechoty i baterii armat polowych i haubic, ustawicznie zmieniających pozycje, a więc wciąż w linii strzałów armatnich, będąc wystawionym wciąż na ogień nieprzyjacielski.

Wielce niebezpieczna to służba. Pocisk armatni przerwie druty telefoniczne; natychmiast wysuwa się z poza ukrycia patrol telefoniczny i nie bacząc na pękające dokoła szrapnele i świszczące granaty, musi przywrócić w szczerem polu połączenie. Lecz ta służba nietylko jest niebezpieczną, lecz również zmusną, ciężką. Odbywa się ona wciąż w polu, wśród deszczów, błota, na rozmo-kłym terenie, w górach, wśród zasp śnieżnych. Toteż wymaga silnego, przytomnego, roslęgo człowieka.

#### d) Audytoryat.

Równocześnie z powstaniem Legionów i wciele-niem ich w skład siły zbrojnej państwa, utwor-zony został przy komendzie Legionów audyto-ryat, tj. Sąd Legionów.

W czasach pokojowych istnieją sądy brygad i dywizyi, wreszcie sąd najwyższy we Wiedniu, z tokiem instancyi analogicznym do sądów cywil-nych. Podczas wojny przemieniają się te sądy w tak zwane sądy polowe, odznaczające się upro-szczeniem przez porzucenie zbędnej formalistyki i toku instancyi (od wyroków sądu polowego nie

ma apelacyi). Tok czynności w sądach wojsko-wych unormowany jest ustawą z roku 1912, od-powiadającą bardziej postępowi cywilizacyi i po-jęciu humanitarnemu o prawach i obronie obwi-nionego, w szczególności zaś sprowadzającą swo-bodną ocenę siły środków dowodowych przez sędziego.

Sądy polowe przydzielane zostają większym, sa-modzielnym grupom bojowym i kompetencya ich normowaną jest wedle komendanta tej grupy. Ci tylko żołnierze podlegają danemu sądowi, którzy podlegają rozkazom danego komendanta, do któ-rego sąd polowy przydzielono. Takim komendan-tem jest ekscelencya Durski, jako komendant Le-gionów. Wyroki sądu polowego muszą być za-twierdzone przez właściwego komendanta, któ-remu przysługuje prawo ulaskawić skazanego lub odroczyć karę do demobilizacyi. W Legionach przyjętą jest zasada odraczania kar do demobi-lizacyi tylko za przestępstwa niehańbiące. Ska-zańcy zyskują na tem o tyle, że po demobilizacyi mogą być, w razie nienagannego sprawowania się, przedstawieni przez bezpośredniego przełożo-nego, komendantowi Legionów do ulaskawienia.

Sąd Legionów składa się podczas rozprawy głó-wnej z przewodniczącego, dalej prowadzącego roz-prawę audytora, który przesłuchuje, ogłasza uchwa-ły i wyroki. Prócz powyższych, w skład sądu wcho-dzą trzej oficerowie, wreszcie oskarżyciel i obrońca.

Wszyscy oficerowie, przy rozprawie fungujący, muszą być oficerami liniowymi, tj. nie może zasiadać w sądzie np. lekarz wojskowy lub urzędnik intendatury. Po przeprowadzeniu rozprawy następuje tajna narada pięciu sędziów i głosowanie najpierw nad winą, potem nad karą, o ile ustawa z góry nie ustanawia konkretnie oznaczonej kary, np. w postępowaniu doraźnym karę śmierci. Inny skład i tok sądu jest bezprawny.

Audytorzy są albo stali, którzy przed wojną wstąpili do audytoryatu lub czasowi, przyjeździ tylko na czas wojny. Kierownictwo sądu Legionów spoczywa w rękach stałego audytora. Oczywiście, ponadto jest odpowiednia ilość protokolantów i areszt polowy pod zarządem profosa. Audytory przygotowują i przeprowadzają śledztwo i materiał do rozprawy, oraz prowadzą rozprawę i ogłaszają wyroki. Współdziała zaś ze sądem w ściganiu przestępstw żandarmerya polowa Legionów, jako organ wywiadowczy i przygotowujący materiał do śledztwa i rozprawy.

Cały szereg zbrodni, które podczas pokoju karane są więzieniem, podlegają na podstawie szczegółowych obwieszczeń podczas wojny karą śmierci. Odnosi się to zwłaszcza do tak zwanego postępowania doraźnego. Przy postępowaniu doraźnym wymaga się, aby sprawca w zasadzie w 48 godzinach, bez przeprowadzenia formalnego śledztwa, mógł być przed sąd postawiony. Ma to miej-



Grupa lekarzy.



*Telefoniści przy pracy*

sce w wypadkach, gdy są wszelkie dane do przypuszczenia, że wina oskarżonego da się bez przewłoki wyjaśnić i ustalić, albo gdy oskarżonego przychwycono na gorącym uczynku. Sąd w tych wypadkach przeprowadza na rozprawie wszystkie dowody i wydaje zaraz wyrok. Odnosi się do ciężkich zbrodni np. dezercya, mord, rozmyślne uszkodzenie się celem uniknięcia służby wojskowej, kradzież ponad 1000 koron, sprzedaż broni lub amunicji wartości ponad 10 koron, szpiegostwo, tchórzostwo, itd. Jeśli w postępowaniu doraźnym sąd wszystkimi głosami orzeknie winę oskarżonego, wtedy nieodzownie musi nastąpić kara śmierci przez rozstrzelanie lub powieszenie. Wyrok śmierci w postępowaniu doraźnym, zatwierdzony przez właściwego komendanta, wykonywanym jest bezzwłocznie, najdalej do 2 godzin.

Postępowanie śledcze audytoryatu Legionów z natury rzeczy przystosować się musi do danych okoliczności wojennych. Z powodu oddalenia nieraz znacznego oddziałów, częstego ich w różnych kierunkach posuwania, trudno jest audytorowi ściągać do siedziby sądu świadków i inne środki dowodowe. Niejednokrotnie musi on wyjechać przed front, odszukiwać żołnierzy na placówkach i tam urządzać. Tak przesłuchiwał np. audytor nasz, Dr Daniec, razu pewnego świadków, leżąc na górze ponad 700 metrów wysokiej, na linii strzałów, mając po jednej stronie leżącego świadka

przesłuchiwanego, a po drugiej protokolanta, spisującego zeznania na ziemi. Działo się to wśród groźnego działania artylerii obu stron przeciwnych, przy obserwowaniu pękających szrapneli na najbliższych wzgórzach. Często spać przyjdzie takiej komisji w opuszczonej chacie, nieraz w szalasy, o chłodzie i głodzie.

Co do spraw sądzonych przez sąd Legionów, to przeszło połowę stanowią wypadki śmierci z powodu nieostrożnego obchodzenia się z bronią. Wymiar kary waha się od 6 miesięcy do jednego roku więzienia obojrzanego. Znaczna część spraw audytoryackich to przestępstwa przeciw dyscyplinie i obowiązkom żołnierskim, np. samowolne przedłużenie urlopu, niedbalstwo na posterunku warty, niedołożenie całej uwagi i przezorności przy transportach i innej natury czysto wojskowej. Kary za przestępstwa te są surowe. Zaznaczyć bowiem wypada, że kary w kodeksie karnym wojskowym są zwykle cięższe od kar cywilnych, a czasy wojenne są w wielu wypadkach okolicznością wymiar kary podwyższającą. Dotąd nie zdarzył się wypadek kary śmierci w Legionach. Z chlubą wreszcie zaznaczyć trzeba, że w Legionach dotąd nie zapadł wyrok za tchórzostwo. Wogóle statystyka audytoryatu Legionów wykazuje w stosunku do innych sądów armii, nadzwyczaj niski procent skazanych przestępców. Jest to bardzo znamieny i pocieszający objaw.

## XIV. POD KONIEC WIELKIEGO ROKU.

„20. grudnia rozpoczną wszystkie pod moją komendą pozostające grupy ogólny atak“.

Tak brzmią pierwsze słowa rozkazu komendy Legionów tuż przed Bożem Narodzeniem. Rozkazu, który dociera wnet do dalekich zakątków karpackich, przenika dziesięciokilometrowe przestrzenie. Bo tym razem komendy Legionów słuchają prócz legionistów poważne siły wojsk przydzielonych, liczne grupy, ustawione na flankach, silna własna artyleria.

Jedno z głównych przejść przez Węgry, przełęcz pod Ökörmezö, jest zagrożona. Więc poraż czwarty muszą Legiony zmienić teren operacyjny, ruszyć na powstrzymanie pochodu wroga. Z Huculszczyzny spieszymy pod Ökörmezö. W największym pędzie, niemal bez tchu.

Za pierwszym naszym atakiem zmienia się sytuacja. Nieprzyjaciel nie może się więcej posunąć naprzód, ba, musi ściągnąć na przełęcz Ökörmezö wielkie siły. Gromadzą się tu dwa pułki piechoty rosyjskiej → 309 i 310 — z wielką ilością armat,

między którymi jest poważna ilość haubic. Morderczy ogień 20 naszych armat, szeregu naszych karabinów maszynowych, piechoty naszej, trwa bez przerwy przez trzy dni. Nieprzyjaciel ściąga posiłki, przesuwa na lewe skrzydło — na którym spoczywa punkt ciężkości walki — trzeci swój pułk piechoty 312-ty. Mimoto jeszcze przez dalsze dwa dni trwa nasz atak. Wreszcie, nie ze względu na naszą własną postawę, lecz z powodu sytuacji strategicznej sąsiadujących z nami kolumn, przestajemy ataku i przechodzimy do obrony zajętego terenu.

Nie mamy więcej zadania następować wrogowi na pięty, tylko nie dać mu pójść naprzód. I to zadanie spełniamy. Wali armatami wróg, próbuje wbić się klinem i obejść, rozerwać nasze grupy. Nie sposób. Nasze oddziały stoją niewzruszone.

Przez kilka tygodni dzień jeden do drugiego podobny. Niemal monotony. Z góry możesz powiedzieć, jaki „program“ będzie jutro. Kanonada, wściekła kanonada — kilkanaście armat z tamtej strony, kilkanaście z tej, rozpaczliwy wysiłek wroga, by przecież wejść do Ökörmezö. Napróžno... Więc ima się wróg forteli, kruczków. Nic nie pomaga. Na fortele — fortele. Dzielny major Januszajtis, dowodzący lewym skrzydłem, trzy razy spędza wroga z góry Kliwy, będącej ważnym węzłem sytuacyjnym, przyczem bierze niezwykłą moc jeńca. Poważny a wytrawny kapitan Zale-

ski, z prawego skrzydła, sam mając dość małe sily, wciąż szachuje kolumny nieprzyjacielskie. A junacki chorąży Romaniszyn, ze swym oddziałem wywiadowczym, okrążając obóz nieprzyjacielski, skrada się na tyły, spada znienacka na treny i wywołuje panikę wśród wojsk rosyjskich.

A wszystko to dzieje się wśród strasznych, okropnych stosunków atmosferycznych. Rozmokła ziemia pokryła się grubymi warstwami grząskiego błota. Wieczne deszcze, wieczna szaruga. Mgły, zadymki, ulewy, wcale nie grudniowe... Jary w górach wzbierają, ścieżyny zamieniają się w rwące potoki, z poszycia drzew ścieka wilgoć. A żołnierz nasz wciąż w szcerem polu. Tygodniami... Gdyż — acz nie mamy zadania ofenzywnego — to jednak wciąż musimy stać gotowi do walki, wciąż być na pozycjach w okopach.

Tak mija Boże Narodzenie, tak mija Nowy Rok.

I znowu trzeba pójść dalej. Na pięty już teren, w Alpy rodniańskie.

Przenosimy się znów. Jeszcze dalej na wschód. Znowu na zagrożony punkt. To nasz los. Stawac u wylomu...

Nie mogę zamknąć mego notatnika i rozpocząć

z Nowym Rokiem drugiego, nie uwzględnivszy kilku świetlanych momentów, jakie nam przeżyć danem było u schyłku wielkiego roku.

Przyjechał do nas w jednym z ostatnich dni grudnia młody dziedzic Korony państwa, które nam dało możność rozwoju narodowego, a w którego obronie my dziś broń w pięści dzierżymy. Przyjechał Następca tronu i był przez dzień gościem Legionów. Trzymał w swej dłoni dłonie nasze, jadł z nami z jednej misy, szedł z nami tam, gdzie się ważą losy zajmowanego terenu, mówił z nami o tem, co nas w tej chwili łączy, przypatrywał się, jak nasza piechota, nasza konnica, nasza artylerya wygląda, jak broni się, jak walczy.

Zyskał serca. Osobiście. Gdy na odchodnem chłopcy krzyknęli: „Niech żyje!“ — to nie była to zdawkowa moneta, nie okrzyk konwenansowy, lecz głos, z wewnątrz idący. Podobał się nam ten młody człowiek, ten rozmilowany w żołnierskim zawodzie pułkownik, co to tak serdecznie i szczerze interesował się choćby i najprostszym żołnierzem, napotykanym po drodze.

Lecz czuliśmy: w tem przybyciu następcy tronu do nas, w tej rewii naszych oddziałów w Zapredjilu, tych odwiedzinach pozycyi artylerzyckich z widokiem na Ökörmezö, tym skromnym obiedzie żołnierskim w kwaterze naszego sztabu w leśniczówce w Vuckomezö — tkwi więcej niż wizytacja militarna. Już choćby ze względu na donio-

szą enuncyacyę, jaka padła.. Na te słowa: „Przybywam z poleceniem Cesarza, by wyrazić komendzie i Legionom najwyższe uznanie i zadowolenie Monarchy za tak dzielną i wyborną służbę, jaką w polu spełniają polskie Legiony“.

Mieliśmy powód być dumni.

---

#### Armia regularna!

○ Schodzący z kalendarjum rok 1914 był świadkiem powstania pierwszej armii regularnej od czasów Królestwa Kongresowego. Był zadatek armii w kolumnach powstańczych r. 1863 lecz w armię regularną sensu stricto nie przeobraził się.

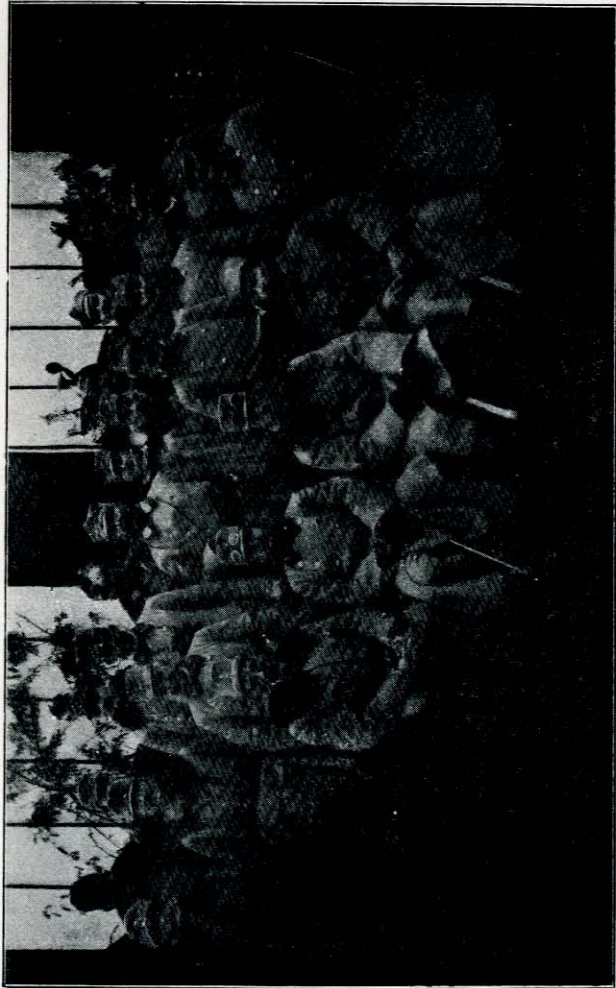
Dopiero kataklizm dziejowy r. 1914 po stuletniem niemal tęsknem oczekiwaniu, po stuletniej przerwie, powołał do życia armię mającą i żołnierza, uformowanego w oddziały — plutony, kompanie, bataliony, pułki — i oficera, sprawującego komendę nad uzbrojonym od stóp do głów, wyekwipowanym jednolicie żołnierzem. Tylko r. 1914 widzi formacje, posiadające najnowocześniejsze rodzaje broni; piechotę, kawaleryę, artyleryę, karabiny maszynowe; współczesne urządzenia: intendancję, prowianturę, pociągi trenowe itd., nieodzowny spiritus movens wszelkiej armii: sztab własny, niezbędne w nowoczesnem wojsku urządzenia pomocnicze: lazarety, kartografię, telefony polowe itd.

Przypomnijmy sobie: pierwsze rzuty Legionów z chwilą wybuchu wojny! Garść młodzieży, ruszająca w pole z wielkim zapalem, lecz niedostatecznie uzbrojona, niedostatecznie wyekwipowana, pozbawiona tych urządzeń, które dopiero w wieku XX. tworzą pełnego żołnierza.

A dziś? Po kilku zaledwie miesiącach! Dziś stoi w polu bojownik o wypróbowanej sile, umiejący obchodzić się z przeróżnymi gatunkami broni, żołnierz, który zawód swój poznał do cna. Ba, co więcej, żołnierz, który zdołał się w tym krótkim czasie wyspecjalizować. Mamy własnych artylerzystów, jakichby się wstydzić nie potrzebowały stare armie, mamy specjalistów — kartografów,



Przeprawa przez rzekę Nagy Ag.



*Następca tronu wśród Legionistów.*

specjalistów — wywiadowców, specjalistów — patrolowych. Ostatnio wzbogaciliśmy się o specjalistów do obsługi karabinów maszynowych.

Jakiż wzruszający moment przeżyliśmy w ostatnich dniach grudnia!

Mała łączka nadbrzeżna koło Vuckomezö. Rzeka Nagy Ag, wezbrana roztopami w górach, huczy i szumi.

Na łące ustawia się oddział karabinów maszynowych. Dwadzieścia sześć koni, objuczonych częściami składowymi karabinów, amunicją i przyborami. A obok każdego juka legionista, a na przedzie podpor. Siczek, komendant oddziału.

W mig konie rozjuczone, w mig dwa karabiny maszynowe ustawione na pozycjach. Z zręcznością i pewnością siebie, wprost zadziwiającą, obsługują nasi chłopcy tę skomplikowaną, subtelną, a tak straszną broń.

Ty chłopczku, którybyś przez tych ostatnich kilka miesięcy ślęczał nad wojnami... punickimi, i ty drugi, którybyś stylizował na temat jakiejś blahostki literackiej — jakżeż zmęznieśliście w tych zmaganiach z wrogiem, jaka siła z was bije, gdy w tę zimną stal, w te kółka i sprychy karabinu maszynowego wsadzacie taśmy z tysiącem automatycznie strzelających naboii...

To już nie dubeltówka myśliwska, nie na sztorc nasadzona kosa, lecz opanowanie strasznej siły oręża nowożytnego.



A my, którzyśmy przyszli, by obejrzeć ten pierwszy polski oddział karabinów maszynowych z polską obsługą i polskim komendantem, którzyśmy dożyli tej najpiękniejszej premiery — myśmy błogosławili ten rok, tak ciężki, a tak wielki, tak niszczący chwilowo Polskę, a tak ją na przyszłość kształtujący!

#### Kształtowanie przyszłości

Danem nam było w jednym z ostatnich dni roku widzieć tych, którzy o przyszłości i w przyszłości decydować będą.

Lustracya szkoły podchorążych, która z kraju przyjechała, by się oddać do dyspozycyi komendy.

Szkola oficerów polskich. Nareszcie! Nareszcie... Szkoła ludzi, mających teraz za naród się bić, a potem wyobrażać w narodzie — siłę.

Mieliśmy w XIX. stuleciu szkół moc. Ale ileż mieliśmy szkół, któreby wprost celowo uczyły młodzieńca: tak a tak broni się Ojczyzny, granic kraju, tak a tak walczy się dla Polski? Mieliśmy szkoły humanistyczne i realistyczne, uczelnie literatury i kultury ogólnej, sztuki i arcyzmów wszelakich. A ile było szkół — polskiego żołnierza?

Szkola podchorążych w Warszawie była znakomitą w pomyśle, ustroju i pierwszych fazach. Lecz na niej zaciążył carat, produkujący Kordyanów, naginając — na szczęście bezskutecznie — młodź do „ideologii“ protektora W. Ks. Konstan-

tego. Szkoła wojskowa w Genui, potem w Cuneo, była czemś zanadto od środowiska polskiego oddalonem, zanadto na podłożu emigracyjnem wyrosłem, iżby prócz dostarczenia Langiewicza i szeregu dzielnych jednostek r. 1863 stanowić mogła pozytywny dorobek siły polskiej.

Więc trzeba było stworzenia szkoły polskiej, iżby w wylęgarniach wrogich nie powstawali — Piotrowie Rozlucy, nie przechodziła młodzież polska tej via dolorosa, na jaką los skazał tego wychowanka rosyjskiej szkoły oficerskiej, syna powstańca.

Przy Kosuth Lalos-utcza w Maramaros-Sziget, w okazałym gmachu „preparandy“ — seminarjum — odbył się w jednym z ostatnich dni roku popis „szkoły podchorążych“. Źle mówię: popis. Było to przyjęcie w stan bojowy tych z pośród kandydatów, którzy już do pola dojrzeli.

Stało 80 młodzieńców. Rosłe, piękne, tryskające zdrowiem postacie. Czegóż też w krótkim, za ledwo kilkutygodniowym okresie czasu swych podchorążych nie nauczył stary kapitan Albinowski wraz ze swem doskonale dobranem gronem nauczycielskiem! Teorya i praktyka, rozkazodawstwo, musztra, szermierka, kartograficzne studia, orientacya w terenie, praca w kancelaryi wojskowej itd. — wszystko ci młodzieńcy w lot pojęli! Widoki natychmiastowego zużytkowania nabytych w szkole wiadomości, uskrzydliły ich poję-

tność, szlachetna emulacja pobudziła do wyciężającej pracy...

Dziś najlepsi z pośród nich już w polu, już dowodzą, już przebyli chrzest ognia, już weszli w atmosferę, pachnącą krwią, już ziszczają się ich sny o szpadzie...

O czem generacye marzyły, co opiewał geniusz najwyższych duchów w narodzie, od Adama Mickiewicza po Stefana Żeromskiego — to dla tych kilkudziesięciu młodzieńców wcieliło się w rzeczywistość w wielkim roku wojny „omnium contra omnes“.

---

Nadejście Nowego Roku wydzwoniły Legionom strzały armatnie.

Poszedł w mroki historyi rok 1914 wśród huku armat, trzasku karabinów maszynowych, salw manlicherowskich, wśród rozgwaru wojny, gdy najlepsi w narodzie, przyszłość narodu, młodzież, stała na wedetach, czaiła się z bronią w rękę w okopach, klusowała na bystrych rumakach po patrolach, maczała ostrze stali bagnetu w pierśsiach wroga.

Szczęśliwy naród, który ma taką młodzież. Bo on temsamem — już zwyciężył. Naród, który był zdolny z siebie wydać Legiony, samorzutnie stworzyć armię, od miesięcy zmagającą się z przemożnym wrogiem — nie obawia się żadnej przyszłości. Ani upustu krwi, ani zatoru w rozwoju kultury umy-

słowej, jaki wszędy spowodowała wojna, ani nadwreżenia czy nawet zniszczenia tyłu dóbr materialnych, wywołanego zawieruchą dziejową.

Bo Polska przejawiała — siłę. Bo zdobyła się na — czyn.

A niema zmierzchu dla narodu, który dysponuje tymi dwoma elementami: siłą i czynem.

Legiony są czynem i wykazały siłę.

Więc są zapowiedzią — świtu.



M3080